

INA NACHT

BEZPIECZNE MIEJSCE



WYDAWNICTWO
**STARA
SZKOŁA**

INA NACHT



BEZPIECZNE MIEJSCE



Teraz

Uwielbiam kwiecień. To miesiąc, kiedy zieleń jest najbardziej intensywna, najświeższa, świeci i razi oczy. Dni są coraz dłuższe, a rozkosznie ciągnące się popołudnia niosą w sobie słodką obietnicę lata.

Kwiecień to piękny czas. Czas początku.

Jak zawsze z początkiem wiosny zostawiam samochód na podziemnym parkingu i decyduję się na spacer do pracy. Nie mam zresztą daleko. Niecały kilometr. Trasa częściowo przebiega przez porośnięty czereśniowymi drzewami park, a następnie wychodzi na brukowane chodniki niezmiennie skąpane w cieniu barokowych kamienic.

Lubię przemierzać tę drogę w pachnące skoszoną trawą poranki, nawet kiedy muszę przyspieszać kroku, żeby się nie spóźnić.

I ubóstwiam wracać niespiesznie do domu, czuć, jak prostują się obolałe mięśnie pleców, i rozkoszować się powolnością coraz jaśniejszego popołudnia.

Chociaż poprawka – lubiałam.

Teraz niepewnie powłóczę nogami i z utkwionym w ziemi wzrokiem mijam kwitnące czereśniowe drzewa. Ich ostry zapach agresywnie atakuje moje nozdrza, ale nie zachwyca się nim, zajęta chaosem panującym w mojej głowie.

Po raz kolejny zadaję sobie pytania: Jak to się stało? Jak mogłam do tego dopuścić? I dlaczego przytrafiło się to właśnie mnie?

Moja zmarła lata temu babcia zwykła mówić, że nieszczęścia nie wybierają, po prostu przychodzą.

Tak właśnie się czuję.

Jakby to niezrozumiałe, irracjonalne wręcz Coś spadło na mnie nagle, niesprawiedliwie, całkowicie bez sensu.

Bez sensu.

Takie jest moje życie od tych kilku dni. Pozbawione sensu.

Wychodzę z oświeconego bielą czereśni parku, przechodzę przez ulicę i stoję już u bram mojego osiedla. Napis na automatycznie otwieranej bramie wjazdowej informuje przechodniów, że znajdują się na granicy Osiedla Radosnego, jednego z wielu nowoczesnych kompleksów powstałych na południowych obrzeżach Świdnicy. To dobre miejsce do życia. Jest tu sporo zieleni, mnóstwo sklepów i punktów usługowych, a droga do zabytkowego centrum miasta zajmuje niecały kwadrans. Dodatkowo z tej części Świdnicy roztacza się bajeczny wręcz widok na pasmo pobliskich Gór Sowich.

Lokalizacja – marzenie.

Całe Osiedle Radosne, ze swoimi nowoczesnymi apartamentami, podziemnymi parkingami, prywatnym parkiem, plenerową siłownią i placem zabaw dla najmłodszych, jest pięknym snem niemal każdego mieszkańca tej średniej wielkości miejsciny.

Marzenie, cudowna fantazja o bezpiecznej przystani. O miejscu pięknym i kameralnym, gdzie można spokojnie odpocząć. Taki jest mój apartament na drugim piętrze w budynku numer osiem.

Chociaż znowu poprawka – był.

Był bezpieczny, intymny, spokojny.

Był mój.

Teraz jest... Nawet nie wiem, jak określić tę sytuację. Zainfekowany. To chyba dobre słowo.

Wstukuję siedmiocyfrowy kod na domofonie i ciężka metalowa brama otwiera się z atakującym uszy skrzypnięciem. Wchodzę na wyłożony czerwoną kostką brukową chodnik i powoli zmierzam do mojego budynku.

Każdy z beżowych dwupiętrowych bloków jest otoczony sporym ogrodem, należącym do mieszkańców parterowych kwater. Apartamenty na pierwszym i drugim piętrze mają za to spore tarasy, a wszyscy mieszkańcy osiedla mogą korzystać z pięknego, obsadzonego laurowiśniami i kolorowymi klonami parku.

Osiedle Radosne jest zadbane. Na każdym tarasie i w niemal każdym oknie królują kolorowe kwiaty i najmodniejsze gatunki zimozielonych roślin. Jest czysto, wręcz sterylne. Mieszkańcy są dla siebie mili i pozdrawiają się pogodnym „Dzień dobry”.

Prawdziwie radosne osiedle.

Wchodzę do mojej klatki schodowej. Z niesmakiem pokonuję kolejne stopnie kamiennych schodów. Moje nogi z jednej strony nie chcą tam iść... Z drugiej bardzo tego pragną.

Nie wiem, jak przetrwam kolejne popołudnie. Kolejny wieczór. Kolejną noc.

Po plecach przebiega mi zimny dreszcz. Otrząsam się, jakbym chciała odsunąć od siebie zło minionych dni. Ich dziwaczność i surrealizm. Ale wiem, że to nic nie da. Muszę się z tym zmierzyć. Zmienić sytuację. Powiedzieć stop.

Tyle że powstrzymuje mnie jedno z najbardziej przejmujących uczuć na świecie.

Poczucie winy.

Wzdycham i pokonuję ostatecznie pięć schodów. Jak co dzień, obiecuję sobie, że dziś powiem dość. Dziś każę mu wyjść.

Ale kiedy staję przed wejściem do mojego mieszkania i prostuję ramiona, gotowa zmierzyć się z tą chorą sytuacją, Dominik sam otwiera drzwi.

– Jesteś wcześniej – mówi i zarzuca na ramię trzymaną w ręce kuchenną ścierkę w szkocką kratę.

– Jedna osoba odwołała wizytę – odpowiadam i czuję się niezmiernie głupio, tłumacząc się z powrotu do własnego mieszkania.

W końcu zawsze mieszkałam sama.

W sumie dalej mieszkam sama.

– Aha – mruczy Dominik, lustrując moją sylwetkę. – To będziesz musiała chwilę poczekać. Robię ragoût, ale musi się jeszcze podusić z pół godziny.

Czarne oczy Dominika po raz kolejny wypalają rumieńce wstydu na moich policzkach. Po wczorajszych wydarzeniach w ogóle ciężko mi na niego patrzeć.

Wchodzę do przedpokoju i z ulgą zrzucając niewygodne skórzane pantofle.

– Nie ma sprawy – mruczę, starając się nie przejmować krwistoczerwonym kolorem mojej twarzy. – Poczekać. Napiję się wcześniej drinka. Zrobisz mi?

– Drinka? Na pusty żołądek? Okay, jeśli chcesz... Jakiego?

– Może być martini z tonikiem – odpowiadam ze słabym uśmiechem i patrzę, jak Dominik znika w kuchni.

Boso wchodzę do salonu i z cichym westchnieniem opadam na kanapę.

Zamykam oczy i wsłuchuję się w odgłosy dobiegające z kuchni. Nie przywykłam do tego. Żeby ktoś mi gotował. Przygotowywał posiłki, wstawiał naczynia do zmywarki i wyrzucał śmieci. W dorosłym życiu zawsze mieszkalam sama. Tak naprawdę dalej mieszkam.

To tylko farsa, która szybko się skończy.

Musi. Bo ja już dłużej nie wytrzymam.

Kwiecień, tydzień wcześniej

Pani Ola jest piękna. Jej trójkątna twarz odznacza się gładką, porcelanową cerą, upstrzoną kilkoma piegami na wysokości nosa. Włosy w kolorze klasycznego blondu, ścięte w modnego boba są starannie ułożone i wygładzone. Pod granatową marynarkę Ola włożyła jedwabną bluzkę, na tyle obcisłą, by ukazywała atuty jej wyrzeźbionego na siłowni ciała.

Spodnie na kant, szare szpilki od Versace. Małe złote kolczyki w uszach. Delikatny naszyjnik i zegarek na skórzanym pasku. Wytuszone rzęsy i zapach perfum Dior Dune. Ola jest jedną z kobiet, których ubranie nigdy się nie gniece, a modne skórzane torebki noszą z taką lekkością, jakby w środku była tylko cukrowa wata. Zawsze wyglądają bosko. Zawsze.

Do tego gładkie i świejące życie zawodowe. Stanowisko starszego menedżera w prestiżowej korporacji bankowej. Przystojny, ambitny mąż.

Czysta perfekcja.

To wszystko składało się na panią Aleksandrę Wolską. Moją pacjentkę.

Ola siedzi na brązowym fotelu naprzeciwko mnie i skubie skórki paznokci. To właśnie o paznokcie chodzi. To właśnie one zdradzają Olę. Jej mrok.

Obgryzione do czerwoności skórki okalają nie lepiej wyglądającą płytkę. Podrażnione opuszki kontrastują z jasnymi, zakrzywionymi i o wiele za krótkimi paznokciami. Te dłonie są niemal obrzydliwe i tak bardzo niepasujące do eleganckiej kobiety sukcesu. Piękna Ola nie może się odkleić od skórki lewego kciuka. Drażni czerwone miejsce, jakby chciała oderwać kawałek skóry. A później kolejny i kolejny.

Tak jest co miesiąc. Ola, na co dzień perfekcyjna i twarda menedżerka w korporacji, załamuje się z zegarmistrzowską precyzją.

Zrywa wtedy położoną na paznokciach masę hybrydową, za którą zapłaciła pewnie krocie w jednym z luksusowych salonów kosmetycznych ulokowanych w zabytkowej części miasta. Obgryza paznokcie do krwi i maltretuje skórki. W czasie załamania Ola zrywa też ze swoimi żelaznymi zasadami dotyczącymi zdrowego odżywiania. Podczas napadu głodu rzuca się na lodówkę i pochłania ogromne ilości jedzenia. Czekolada, lody, masło orzechowe. Jeśli produktów nie ma w domu, jedzie po nie do Żabki. Wybiera sklepy oddalone od swojego domu i pracy. Na wszelki wypadek. Żeby nikt nie zobaczył.

Takie ataki piękna kobieta kończy zawsze w toalecie, zwracając pochłonięte w szale kalorie.

Żeby nie przytyć.

Załamania często kończą się przeziębieniem, zakażeniem przy paznokciach i dniem zwolnienia z pracy.

I oczywiście wizytą na mojej kanapie.

Co miesiąc omawiamy jej sięgającą dna samoocenę, opartą na pozycji w pracy i magicznych cyferkach wyświetlanych przez łazienkową wagę. Za

każdym razem wążujemy temat jej urody, trybu życia, sytuacji rodzinnej i wspomnień z dzieciństwa. Zawsze dochodzimy do sedna – poczucia odtrącenia i zrodzonej z niego nienawiści do samej siebie. To sedno według mnie, bo Aleksandra uważa inaczej.

Jej zdaniem jest za słaba, wciąż za słaba.

Niewystarczająca Ola. A przecież tak się stara...

Po blisko półtoragodzinnym spotkaniu, w którego trakcie ani na moment nie zostawiła w spokoju swojego zmaltretowanego kciuka, moja pacjentka opuszcza gabinet uzbrojona w nowe wskazówki dotyczące radzenia sobie ze stresem.

Radzenia sobie z jedzeniem.

Ciałem.

Ludźmi.

Życiem.

Nie wypracowałyśmy tego w tak krótkim czasie, o nie. Ola jest moją pacjentką od przeszło dwóch lat. W tym czasie przeanalizowałyśmy jej dzieciństwo oraz obecne związki i rozmawiałyśmy o sile oraz poczuciu wartości. I chociaż nieraz miałam już wrażenie, że w zalanej łzami pacjentce nastąpił przełom, to jednak piękna Ola rutynowo wraca na moją kanapę.

Czy to oznacza, że zawodzę jako terapeutka?

Z jeden strony traktuję powroty Oli jako porażkę. Z drugiej jednak mam świadomość, że bez terapii, bez naszych spotkań, jakość jej życia byłaby o wiele gorsza. Wiem, jak wyglądało jej życie *Przed*. Teraz jest lepiej, z pewnością.

Spoglądam na zegarek i szybko podnoszę się z miejsca. Jeśli chcę coś zjeść, muszę się pospieszyć. Zostało mi piętnaście minut do kolejnego pacjenta.

Nowy człowiek. Mężczyzna.

Już samo to jest intrygujące. Jestem co prawda znaną w mieście terapeutką, ale w zdecydowanej większości leczę kobiety. Zaburzenia odżywiania i postrzegania własnej osoby, dysmorfofobia i inne zaburzenia lękowe. Tym głównie się zajmuję.

Mężczyzna na mojej kanapie?

To będzie trzeci przypadek w ciągu jedenastu lat, jeśli nie liczyć sprawdzającego oświetlenie elektryka, którego buciory zrujnowały piękną ciemnozieloną tapicerkę kosztującą krocie.

Kręcę głową. Facet na mojej kanapie.

No dobra, czas na wyzwanie, Natalia.

Pozwalam sobie na szybkie zerknięcie w lusterko. Przyglądam krótkie kasztanowe włosy i uśmiecham się do swojego odbicia.

W porządku.

Jest w porządku.

Żwawym krokiem wychodzę na korytarz. Zwykle jadam w knajpce na parterze. Mają tam sałatki, kanapki na ciepło, a nawet zestawy obiadowe. No i nieziemsko smaczną kawę. Jem tam zarówno lunch, jak i śniadania.

Ale dziś nie mam czasu, by odwiedzić wypełniony nęcącym aromatem ziaren Przytulny Zakątek. W ten słoneczny i jakże piękny wtorek muszę zadowolić się kanapką ze stojącego na biurowym korytarzu automatu i filiżanką kawy ze współdzielonego ekspresu. Wybieram kanapkę z serem, wrzucam odliczone drobniaki do maszyny i niemal biegiem wracam do gabinetu.

Nie ma chyba nic gorszego niż terapeuta spóźniony na pierwsze spotkanie z pacjentem.

Albo...

I to chyba jest gorsze.

Terapeuta z pozostałościami kanapki na zębach. Liście rukoli czy szpinaku są w takiej sytuacji niezrównane.

Dokładnie przeżuwam każdy kęs kanapki, ale moje szczęki pracują w zawrotnym tempie. Po skończonym posiłku sprawdzam stan uzębienia.

Jest dobrze.

Nie ma żadnej zieleniny wystającej spomiędzy siekaczy.

Dominiku Borkowski, mój trzeci męski pacjent, jestem na ciebie gotowa.

Nie wiem jeszcze, jak bardzo się mylę, wypowiadając w myślach te słowa.

Białe drzwi mojego gabinetu otwierają się z cichym szelestem. Odgłos ten poprzedza ciche pukanie i skrzypienie ciężkich męskich butów.

– Dzień dobry. – Chropowaty głos wybrzmiewa w małym pomieszczeniu.

Dwoje czarnych oczu lustruje mnie uważnie, a ja unoszę brwi w zdziwieniu. Nie tego się spodziewałam. Myślałam, że mój męski pacjent będzie bardziej...

Hmm?

Wymuskany?

Tak, to dobre słowo.

Pewnie przez to, że prowadzę terapię głównie dla kobiet, oczekiwałam mężczyzny bardziej delikatnego. Moi dwaj poprzedni męscy klienci właśnie tacy byli. Mocno sfeminizowani. Dobrze ubrani. Do tego słabi i złamani.

A ten tutaj...

No cóż, wygląda jak jakiś żyjący w buszu były komandos. Albo drwal. O tak, jak drwal. Nie żeby jakoś specjalnie wyróżniał się z tłumu... Brodaty, postawny, ubrany w wojskowe kolory. Ostre rysy twarzy i szerokie ramiona sprawiają, że może się nawet podobać. Ale jest w nim coś dzikiego, aura, która sprawia, że nie przypomina człowieka poszukującego pomocy.

Wygląda raczej jak dziki zwierz szykujący się do ataku.

I te czarne oczy. Tak cholernie czarne.

Wzdrygam się mimo woli, mając nadzieję, że Dominik tego nie zauważył.

– Dzień dobry. Zapraszam. Do wyboru szeslong, kanapa lub krzesło – mówię, starając się, by mój głos zabrzmiał spokojnie i przyjacielsko.

Wszystkie myśli, które jak tornado przeleciały przez moją głowę w chwili, kiedy Dominik Borkowski przeszedł przez próg gabinetu, upycham skrzętnie w szufladce „Nie teraz”, schowanej w odmętach mojego umysłu.

Bo teraz, w tej chwili, muszę być profesjonalna. Skupiona i opanowana. Muszę zwracać uwagę na detale. Jak zawsze.

Żeby nie popełnić błędu. Już nigdy.

Czarne oczy wpatrują się to w kanapę, to w szeslong.

Dominik nie może się zdecydować, ale ja wiem, że wybierze kanapę.

Oni wszyscy wybierają kanapę.

– Panie Dominiku... – zaczynam, celowo nie kończąc zdania. Czekam, aż mężczyzna na mnie spojrzy, i uśmiecham się do niego delikatnie, chcąc sprawić, żeby poczuł się trochę pewniej.

Brodacz nie odwzajemnia uśmiechu, ale wysłane przeze mnie drgnięcie warg chyba działa, bo jego ciało powoli opada na ciemnozieloną tapicerkę.

Zdecydował. Wybrał kanapę.

– Witam serdecznie – mówię, rozpoczynając standardową formułkę powitalną. – Jest to pana pierwsza wizyta, więc może ja najpierw powiem coś o sobie, swoim doświadczeniu jako terapeuty i sposobach pracy.

Patrzę na ciemnozieloną kanapę i widzę skinienie głową, choć brodacz zachowuje kamienną twarz. Jego czarne oczy wpatrują się we mnie intensywnie. Tak bardzo, że niemal czuję, jak wypalają czerwone plamy na moich policzkach.

Moje serce zaczyna przyspieszać...

Te oczy... Są tak niemożliwe czarne! To muszą być soczewki.

– Aaa... – wydaję z siebie mrużący odgłos, nie rozumiejąc do końca, co się ze mną dzieje.

Zająknęłam się? Ja? Podczas cholernej formuły powitalnej dla nowego pacjenta?

Nie, no nie. Natalia, ogarnij się – strofuję się w myślach. – Przecież to ci się nie zdarza. Nie tobie. Czy chodzi o to, że przed tobą siedzi Facet? To nic. To tylko pacjent. Weź się w garść.

– Nazywam się Natalia Kos i jestem dyplomowanym psychoterapeutą i psychologiem. Prowadzę terapię już od jedenastu lat, pracowałam też w psychologicznych ośrodkach interwencyjnych. Od ośmiu lat prowadzę sesje niezależnie, w tym gabinecie. Zajmuję się terapią człowieka dorosłego, a w moich sesjach opieram się głównie na nurcie psychodynamicznym i elementach psychoanalizy. I proszę się nie przejmować, jeśli te nazwy za wiele panu nie mówią – tłumaczę z delikatnym uśmiechem. Profesjonalne drgnięcie mięśni słodzi przeładowane naukowymi nazwami przemówienie. – To po prostu rodzaje

terapii, które stosuję. Uznawane także za jedne z najbardziej skutecznych. Pierwsze spotkanie poświęcam zwykle na pytania dotyczące stanu obecnego, później, jeśli będzie taka potrzeba, cofniemy się trochę w czasie i porozmawiamy o pana przeszłości. Czy jak dotąd wszystko, co mówię, jest dla pana jasne, panie Dominiku?

Brodą głowa porusza się powoli. Góra i dół. To chyba kiwnięcie, ale w wersji „stop klatka”.

– Dobrze – mówię i znowu czuję, jak mój kark pokrywa się gęsią skórą.

To przez Te oczy.

Czarne, najczarniejsze... Cholera, nie mogą być prawdziwe, o nie. Tyle że coś wewnątrz mnie każe mi przypuszczać, że jednak są. *On jest niezwykły* – szepcze cichy głos z czeluści mojego umysłu. Zduszam go bezlitośnie, niemal jakbym ciężkim butem rozdeptywała robaka.

Nie lubię takich myśli. Nieskoordynowanych myśli.

Wracam do profesjonalnego tonu i mówię:

– Muszę też pana poinformować, że wszystkie nasze sesje są poufne. Cokolwiek pan powie, zostaje tylko między nami. W tym gabinecie. Nie opowiem o tym nikomu – rodzinie, znajomym, nikomu. Podkreślam to, bo moi pacjenci często mają tego typu obawy...

– Ja nie mam. – Chropowaty głos szybko wydobywa się z owłosionej twarzy.

Przerywa mój wywód niespodziewanie, ostro i z tą przedziwnie pociągającą chrypką.

– To... – mówię zaskoczona – dobrze. Bardzo dobrze, panie Dominiku, że nie ma pan takich obaw. Ten gabinet to bezpieczne miejsce i możemy tu rozmawiać o wszystkim. Zależy mi na tym, żeby czuł się pan dobrze.

W tym gabinecie... I oczywiście poza nim, ale nad tym będziemy już pracować.

Cały czas patrzę w cudaczne oczy mężczyzny i zostawiam mu przestrzeń do skomentowania mojej wypowiedzi. Ale oparta o ciemnozieloną tapicerkę głowa jedynie unosi się i opada.

Góra. Dół. Kolejne powolne skinienie. I ja potakuję.

– W takim razie, panie Dominiku, proszę powiedzieć mi, czy będzie się pan czuł komfortowo, jeśli będziemy sobie mówić po imieniu?

Kiwa. Góra. Dół.

– Świetnie – mówię, może trochę zbyt głośno. Może trochę zbyt entuzjastycznie.

– Jak wspomniałam, mam na imię Natalia.

– Natalia.

Brodacz wypowiada moje imię.

Albo nie wypowiada, tylko waży. Smakuje. Zjada.

Nie doszukuj się nie wiadomo czego – ganię siebie w myślach i prostuję zgarbione wcześniej plecy.

– W takim razie zaczynajmy, Dominiku – mówię i otwieram swój opasły pomarańczowy skoroszyt.

Skupiam wzrok na poprzecinanych równoległymi liniami kartkach i ze zdziwieniem odnotowuję ulgę. Tak, to właśnie czuję, kiedy moje oczy choć przez chwilę nie muszą patrzeć na brodatego człowieka.

Ulgę.

Zerkam na wiszący na ścianie zegar.

Minęło już pięćdziesiąt minut z tej szalenie dłużej się godziny. Pięćdziesiąt minut, w których bacznie obserwowałam małą wskazówkę tykającego zegara.

I choć nigdy wcześniej coś takiego mi się nie zdarzyło, choć nigdy wcześniej nie byłam taka... przejęta mijającą sesją, to muszę ze zdziwieniem stwierdzić, że wcale nie poszło źle. Na początku Dominik był dość spięty i zdawkowo odpowiadał na moje pytania. Z trudem udawało mi się z niego cokolwiek wyciągnąć. Widziałam, jak bardzo się męczył, dlatego postanowiłam dać mu to, czego w tym momencie pragnął.

Przestrzeń.

I tak milczeliśmy sobie dobre dziesięć minut.

W ciszy czekaliśmy, aż będzie gotowy wyznaczyć, jakie problemy sprowadziły go na moją kanapę.

Nie była to moja pierwsza tego rodzaju cisza. Często postępowałam w ten sposób, dając pacjentkom czas na otwarcie się. Zazwyczaj działało i po nastu minutach milczenia z zielonej kanapy docierała do mnie mnogość dźwięków.

Byłam więc przyzwyczajona.

Niby.

Bo dziesięć minut spędzone z brodatym człowiekiem w ciszy zdawało się nie mieć końca.

Czarne oczy wpatrywały się w zamszowe obicie kanapy, a ja zerkałam to na małą wskazówkę zegara, to na duże owłosione ręce Dominika Borkowskiego.

Taki ciemny człowiek, takie czarne oczy...

Coś w tym mężczyźnie kazało mi myśleć, że i jego dusza jest czarna.

Ciemny człowiek...

Czy ja...? Czy on...?

Przez chwilę, krótką szaloną sekundę wydawało mi się, że go znam.

Tylko gdzie...

Właśnie wtedy brodaty człowiek postanowił się odezwać i moje delikatne jak skrzydła ćmy myśli odleciały. Została tylko profesjonalna Natalia, w skupieniu słuchająca wynurzeń ciemnego wielkoluda, który okazał się zwykłym śmiertelnikiem, targanym miłosnymi porażkami i uniesieniami. Choć wnioskując z tego, co mówił Dominik, porażek było więcej.

Ale brodaty człowiek ją kochał. Tę idealną Ją, marzycielkę i artystkę. Cud-kobietę. Czy ta dziewczyna odwzajemniała ogniste uczucie? To pierwsza wizyta i mój osąd może być błędny, ale myślę, że nie.

Nieodwzajemniona miłość i ślepa potrzeba bycia kochanym.

Dominiku, chyba jednak nie ma w tobie nic niezwykłego – przeszło mi przez myśl, kiedy brodacze kontynuował swój monolog.

Słuchałam go uważnie, skrupulatnie notując ważniejsze spostrzeżenia.

Wszystko było jak zwykle. Sesja jak sesja.

A jednak...

No właśnie, „a jednak”.

Czarne, świdrujące oczy nie dawały mi spokoju. Coś tam, gdzieś w tej ciemnej głębi było złe. Złe, gniewne, okrutne. W sumie to cholera wie jakie. Ale cały czas miałam wrażenie, że ten człowiek nie przyszedł tutaj na terapię. Tylko po...

Po co? Nie wiem.

Zagubiona, rozbita i wściekła, znowu spoglądam na zegarek. Zostało pięć minut. Pora taktownie przerwać. Czekam więc, aż brodacze dokończy myśl, stopuję go delikatnie i informuję o tym, że czas się skończył.

Potem pytam, czy umawiamy kolejną wizytę. Dominik chce. Ustalamy spotkanie na kolejny tydzień. Zapisuję termin w kalendarzu i na karteczce, którą wręczam Dominikowi. Z ulgą odnotowuję, że wielkie cielsko podnosi się z zielonej kanapy.

Wychodzi.

W końcu.

Zmierza do wyjścia.

Jestem już przekonana, że zaraz usłyszę wyczekiwany szelest zamykanych drzwi i uwolnię się na dobre od tych świdrujących oczu.

Ale wielkolud zatrzymuje się przed progiem gabinetu i odwrócony do mnie plecami mówi:

– Dziękuję. To było... bardzo dobre doświadczenie.

– Cieszę się – odpowiadam mile połączana.

– Szkoda tylko...

Brodacz zawiesza głos, a ja czuję, jak mój żołądek się spina.

– Tak? – dopytuję.

– Szkoda tylko, że Arielowi nie pomogłaś. Lubisz pieprzyć się z młodymi sąsiadami, co?

Powietrze gęstnieje, a ja zastygam. Nie unoszę głowy znad skoroszytu i po chwili słyszę znajomy szelest drzwi.

Wyszedł. Dominik Borkowski wyszedł. Nie ma go już. Podnoszę oczy i zagubionym wzrokiem przeczesuję własny gabinet.

Czy to...?

Czy ja się przesłyszałam?

Nie. Chyba nie.

On to powiedział. On wie.

Ale przecież to niemożliwe...

Cholera!

Powłócząc nogami, powoli wracam do domu. Z niesmakiem spoglądam na zachmurzone niebo i szczerzej owijam szyję jedwabną apaszką. Poranek był całkiem inny – jasny i słoneczny, taki jak być powinien na początku wiosny. Teraz jest zupełnie inaczej. Niebo spowiły ciężkie chmury o wszystkich odcieniach szarości, do tego ni stąd, ni zowąd zerwał się dość chłodny wiatr.

Niemrawo stawiając krok za krokiem, w duchu przeklinam siebie samą za to, że rankiem zdecydowałam się na lekkie mokasyny zamiast zimowych butów, a w miejsce porządnego szalika wybrałam delikatną chustę.

I przyjął tego Dominika Borkowskiego.

Głupia ja.

Do licha, to na bank jest jakiś przekręt. Po jaką cholere gość umawiałby się na sesję, płacił za nią, wyjawiał przede mną sekrety, żeby potem nawrzucać mi za Ariela?

I skąd wiedziałby o Arielu?

Czy chłopak... Czy Ariel mu powiedział? Prawdę? O nas?

Cholera, chyba tak.

Na pewno tak.

Ale mimo wszystko po co?

Po co...

Zaczynam gubić się w swoich myślach. Tak bardzo, że zwalniam kroku, a po chwili siadam na jednej z parkowych ławek. Jest przeraźliwie zimno i wilgotno, ale się tym nie przejmuję. W mojej głowie wyświetla się film.

O mnie i Arielu.

Chłopaku z sąsiedztwa. Grzechu sprzed kilku miesięcy. Złamanym sercu? Być może, ale nie moim.

Pochylam się i ukrywam twarz w dłoniach. Staram się uspokoić oddech.

Sama nie wiem, dlaczego ta sytuacja tak mocno na mnie działa. Przecież to nic nieznaczący incydent. Nawet jeśli Dominik Borkowski jest przyjacielem Ariela, nawet jeśli ten naopowiadał mu o mnie, o naszej relacji... To nic.

Przecież mogę najzwyczajniej w świecie odwołać kolejną wizytę. Odciąć się od tego faceta. Nie przyjmować jego zgłoszeń, nie odbierać telefonów, wymówić się brakiem czasu i nagłymi interwencjami u innych, bardziej potrzebujących pacjentów.

Mogę o tym zapomnieć i żyć swoim życiem.

Tak jak żyłam do tej pory. Dobrze, spokojnie, stabilnie. Komfortowo.

Wciągam głęboko do płuc zimne, przesycone zapachem wczesnej wiosny powietrze i staram się wypuszczać je z mojego organizmu jak najwolniej.

Wdech, wydech.

Powoli.

I jeszcze raz. Oddech spowalnia, ja prostuję zgarbione plecy.

Tak, tak właśnie zrobię. Odetnę się od mojego nowego pacjenta, zapomnę o Arielu, Pięknym Chłopcu.

– Zapomnę – szepczę cicho, chowając twarz we wzorzystą chustę, i w mojej głowie jak na zawołanie zaczynają wyświetlać się obrazy.

Te kilkanaście wieczorów z młodym chłopakiem o cudownym uśmiechu i nieco czarnym poczuciu humoru. Jego szczupły tors, zmierzwione ciemne włosy, wytarta dżinsowa kurtka. I te oczy, złociste, bursztynowe. Oczy, które wpatrywały się we mnie, jakbym była jedyną

kobietą na świecie. Oczy, które zgasiłam parę tygodni później, zmieniając wesołe ogniki we łzy rozpacz.

Robię jeszcze jeden powolny wdech.

To było wieki temu. Minęło już wiele miesięcy, odkąd dałam kosza młodemu Arielowi, a on mimo wyraźnego smutku zdawał się to akceptować. Później widziałam go parę razy na osiedlu, raz minęliśmy się w korytarzu.

To i tak nie za dużo, zważywszy, że mieszkamy w jednym bloku. I nie widziałam w nim śladu... Żalu? Smutku, rozpacz, czegokolwiek, co świadczyłoby, że Ariel jeszcze coś do mnie czuje.

Owszem, był zmieszany, ja również, ale to chyba normalne, kiedy zobaczy się sąsiada, z którym kilka miesięcy wcześniej uprawiało się seks.

Zmieszanie będzie na miejscu.

Poza tym zmieszaniem było dobrze. Piękny Chłopiec uśmiechał się do mnie, ja odwzajemniałam jego uśmiech, czując, jak moje policzki robią się krwistoczerwone.

Powiedzieliśmy sobie „Cześć”. Poszliśmy dalej. Koniec historii.

Koniec.

A teraz TO?

Wyglądający jak były komandos facet zasiada na kanapie w moim gabinecie, udaje, że poddaje się terapii, a potem wyskakuje mi z Arielem?

No nie!

To jakiś koszmar.

Albo pomyłka.

W każdym razie Dominik Borkowski już nigdy nie znajdzie się w moim lokalu, już nigdy nie usiądzie na ciemnozielonej kanapie i już nigdy nie

umówi się na wizytę. A jak spotkam Ariela na osiedlu, to poproszę go grzecznie, żeby się ode mnie odczepił. Raz na zawsze. I jego kumple też.

Ze świstem wypuszczam powietrze i w zgoła innym nastroju wstaję z ławki. Kilka minut na tym smaganym wiatrem drewnianym klocek sprawiło, że z zagubionej dziewczynki zmieniałam się w wojowniczkę. Cholera, teraz nawet chciałabym spotkać tego pajaca na osiedlu. I powiedzieć mu, co myślę o jego szczeniackich zabawach.

Żwawo kroczę do domu i w myślach gratuluję sobie opanowania. I tego, że miałam rację. Te kilka miesięcy temu również.

Ariel to gówniarz.

Nic by z tego nie było.

Jest godzina ósma dwadzieścia osiem. Dzisiejszy poranek jest słoneczny, zupełnie tak jak wczoraj.

Pomna jednak tego, że kapryśna wiosenna pogoda może się zmienić w każdej chwili, ubrałam się ciepło. Włożyłam ocieplane czarne getry, termoaktywny podkoszulek i bluzę do biegania. Włosy związałam w kucyk na czubku głowy, a uszy osłoniłam frotową opaską.

Dziś jest środa. Dzień biegania.

I dzień plotek z Renatą.

Moją przyjaciółką, która spóźnia się już całe trzy minuty. Wykorzystuję ten czas na rozgrzanie ciała za pomocą ćwiczeń aerobowych i zastanawiam się, czy opowiedzieć Renacie o mojej wczorajszej przygodzie.

O dziwacznej wizycie, Dominiku Borkowskim i jego uwadze na temat Ariela.

Chciałabym komuś powiedzieć...

Splatam ramiona za plecami i rozciągam kręgosłup. Kiedy moje ciało jest wygięte w ten sposób, dosłownie czuję, jak każdy mięsień wędruje na prawidłowe miejsce. Co za ulga dla człowieka, który niemal całe dni spędza w pozycji siedzącej.

To wręcz magia.

Odchylam ręce w drugą stronę i wzdycham.

Nie wiem, czy mogę opowiedzieć Renacie o wczorajszych wydarzeniach. Może nie powinnam.

Chociaż Renata to moja najlepsza przyjaciółka, nie wie wszystkiego o mojej relacji z Arielem. Z tego, co jej mówiłam, wynikało, że byłam zafascynowana tym młodym chłopakiem, a on nawet lekko ze mną flirtował.

Tyle wie Renata. Nie zna prawdy. I chyba nie powinna poznać, więc jeśli opowiedziałabym jej całą wczorajszą sytuację, Renatka nie zrozumiałaby, o co mi chodzi. Zaczęłyby się pytania, domysły. A ja zacząłabym się płatać i pewnie po jakimś czasie wyznałabym jej prawdę.

Tak, lepiej milczeć.

Ludzie tacy jak Renata nie należą do wyrozumiałych.

Schylam głowę do skłonu, a kiedy ją podnoszę, widzę nadbiegającą przyjaciółkę.

Renata jest kobieca, seksowna i niemal idealna. Matka trójki dzieci, o figurze modelki, pracująca z domu pani tłumaczka, uparta i ambitna opiekunka domowego ogniska.

Często, kiedy na nią patrzę, zadaję sobie pytanie: Jak to jest możliwe? Skąd ona bierze na to wszystko siły, energię, czas?

Ale wiem też, że Renata to mistrzyni planowania i organizacji. Ani jedna sekunda z jej trwającego osiemnaście godzin dnia nie jest

zmarnowana, a wiszącego w jej kuchni grafiku nie powstydziliby się zawodowa asystentka.

A jednak dziś się spóźniła.

– Osiem minut po czasie – krzyczę pełnym satysfakcji głosem.

– Sorry, Nanu. Malwina nie chciała jechać z Frankiem do przedszkola. Musiałam przekupić ją ciastkami. Na szczęście miałam zapas tych owsianych, z ksylitolem.

Prycham, słysząc jej tłumaczenia.

– Na szczęście – mówię i unoszę rękę do ust w teatralnym geście. – Co by było, jakbyś nie miała? I musiałybyś jej dać ciastka z... O Boże! Z cukrem?

Ren stroszy wyregulowane brwi, a ja puszczam do niej oko.

– Spadaj – mówi i zaczyna się rozciągać. – Nie można paść dzieci cukrem, bo mogą się rozchorować.

– A pewnie – odpowiadam i poprawiam sznurowadła. Z Renatą nie ma co żartować w sprawach dotyczących zdrowego odżywiania. I w kwestii sportu. – To dokąd dziś biegniemy?

– Wzdłuż strumienia?

– Dobra – zgadzam się. – Prowadź, perfekcyjna pani domu.

Renata marszczy czoło.

– Nanu, słowo daję, nie dobijaj mnie. I tak czuję się dziś jak gównu. Dzieciaki dają mi w kość.

Poważnieję i kiwam głową. Nie chcę, żeby Ren pomyślała, że za nic mam jej problemy.

– Rozumiem. Mogę ci jakoś pomóc?

Tym razem to ona prycha.

– Niby jak? – pyta. – Chodź, biegniemy, bo za godzinę muszę siadać do roboty. I podczas biegu opowiesz mi o swoim życiu pełnym czasu dla siebie.

– Tak to widzisz?

– Tak. – Renata kiwa głową. – O ile nie dostaniesz zadyszki.

Uśmiecha się do mnie, mruga i puszcza się pędem. Po chwili zaskoczenia dołączam do niej.

Biegniemy wzdłuż strumienia, wąską polną dróżką. To trudna trasa, pełna nierówności i kamieni, ale za to z pięknym widokiem na Góry Sowie.

Pola są jeszcze pożółkłe, zmarznięte po wyjątkowo mroźnej zimie. Strumień płynie wartko, zasilany przez topniejący w górach śnieg. Mimo tej surowości krajobrazu w powietrzu czuje się wiosnę. Słońce jest ostre, zimne, ale rażące, jego promienie pieczą moje policzki i niemal czuję, jak przywracają mojemu ciału życiodajną energię.

Po początkowej szarży stabilizujemy nasze tempo i żwawym truchtem pokonujemy nierówności ścieżki.

– Dawno nie pytałaś – syczy Renata – o tego słodkiego chłoptasia.

Na chwilę gubię oddech.

Wiem, że mówi o Arielu.

Kiedy to się działo, te kilka miesięcy temu, miałam w zwyczaju wypytywać ją o uroczonego bruneta z osiedla. Chciałam wiedzieć, co się o nim mówi, a moja przyjaciółka to jedno z najlepszych źródeł informacji w naszej małej społeczności. W końcu jako mama trójki dzieci, z których co najmniej jedno korzysta jeszcze z placu zabaw, częściej bywa na

osiedlowych uliczkach. Rozmawia z Tymi i z Tamtymi, kręci się Tu i Tam. Wychodzi z psem, zagaduje starszą sąsiadkę, macha do dzieciaków.

Dużo wie, jeśli chodzi o zamknięte Osiedle Radosne.

Więc podpytywałam ją o To i Owo.

Czy często go widuje? Z kim? Co o nim wie?

Renata nie wiedziała za dużo, ale moja jesienno-zimowa obsesja na punkcie tego chłopaka zdawała się ją mocno interesować. Potem temat przygasł.

Już nie pytałam. Już znałam wszystkie odpowiedzi.

I wiedziałam, że nie tędy droga. Nie powiedziałam o tym oczywiście Renacie, a ona po kilku próbach przestała pytać. Tak temat umarł na wiele przyprószonych śniegiem miesięcy.

Aż do teraz.

Dzień po tym, jak dziwaczny pacjent oskarżył mnie o skrzywdzenie Ariela, Renata nagle porusza ten temat.

No cholera by to...

Chce mi się krzyczeć z wściekłości, ale zbieram się w sobie i mówię na tyle spokojnie, na ile potrafię:

– Po prostu już mnie nie interesuje. Zapomniałam o nim.

– Aha – kwituje Renata i przez chwilę biegniemy dalej w ciszy. – Bo wiesz, Nanu... – Teren staje się bardziej pochyły, a słowa Renaty przerywa jej ciężki oddech. – Nie widziałam go ostatnio na osiedlu. Coś Marcelina mówiła...

Przyjaciółka urywa na chwilę i sapiąc, pokonuje kolejne metry niewielkiego wzniesienia.

– Co mówiła Marcelina? Coś o Arielu? – dopytuję, nie mogąc znieść napięcia.

– No. – Ścieżka na powrót się wyrównuje, a głos Renaty sprawia wrażenie silniejszego. – Że się wyprowadził. Albo że ktoś go wyrzucił z domu... Ten facet, z którym mieszkał.

– Jego ojciec? – pytam piskliwym głosem. – Wyrzucił go z domu?

– A ja tam wiem, czy to jest jego ojciec? – mówi z powątpiewaniem Renata. – Raczej mi nie wyglądał. Bardziej jak brat, czy nie wiem... Jakiś współlokator po prostu. W każdym razie pozbył się Pięknego Chłopca. Chociaż może to i dobrze. Jak dla mnie to jakieś dziwadła. Obaj. Dobrze, że już dałaś sobie z nim spokój.

– Przecież to gówniarz. Ale, jesteś pewna? On... – Głos mi się łamie, ale tylko przez chwilę. Mam nadzieję, że Renata przypisze ten fakt mojemu zmęczeniu. – Nie mieszka już tutaj? Ariel się wyprowadził?

– Podobno. – Przyjaciółka potrząsa kruczoczarnym kucykiem. – To co, zawracamy już? Ja nie mam pary na dodatkowe kilometry.

W ciszy kiwam głową, a Renata startuje. Jest szybka, jak zwykle.

Ja mam problem z ruszeniem się z miejsca. Gdzieś na dnie mojego serca zrobiła się właśnie rana.

Piekąca, paląca rana.

Ocieram łzę, tę, której nie ma, zabłąkaną w wachlarzu wytuszowanych rzęs. Wsysam do środka ostre, zimne powietrze i puszczam się biegiem, podążając za rażąco kolorową bluzą Renaty.

Dwie godziny później, odświeżona i pachnąca wchodzę do kawiarni Przytulny Zakątek. Ten, jak nazwa wskazuje, klimatyczny lokal położony jest na parterze biurowca, w którym pracuję, i często jadam tu śniadania. Albo wczesne lunche, jak teraz, w tę pachnącą wczesną wiosną srodę.

Wybieram stolik w rogu sali, przy dużym oknie. To da mi możliwość zawieszania wzroku na mknących przez mokrą ulicę samochodach i schowanych za kołnierzami płaszczy ludziach.

I może uda mi się nie myśleć.

Dobrze mi znany puciołowaty kelner szybko podchodzi do mojego stolika. O tej porze ruch w Przytulnym Zakątku jest niewielki. Najbardziej zatłoczone są poranki, kiedy młodzi bankowcy i wymuskani agenci nieruchomości wpadają do lokalu po dawkę aromatycznej energii i ciastko na rozruch, takie bez cukru, obowiązkowo.

I co jak co, ale o kawie w tym niewielkim bistro wiedzą niemal wszystko.

Uśmiecham się do kelnera. Nie wiem, jak się nazywa, nigdy nie widziałam też przypiętej do koszulki imiennej plakietki.

Szkoda.

Miło byłoby mówić do niego po imieniu.

Cześć Rafał, podaj mi mokkę.

– Co dla ciebie? – pyta bezimienny, wyrywając mnie z zamyślenia.

– Z mlekiem na podwójnym espresso i kanapkę z pesto, ale bez salami.

Pulchna ręka kelnera w zadziwiająco szybkim tempie zapisuje moje zamówienie w małym notesiku. Mężczyzna kiwa głową i już po chwili staje się dla mnie wspomnieniem. On, jego notes, koszula i imię.

Pogrążam się w myślach. Zatapiam w mojej głowie, tonę w kotle gorących myśli i nie pomaga nawet gapienie się przez okno.

Widok spieszących się ludzi, szum opon, pisk hamulców. To nic w porównaniu z burzą, jaka przechodzi przez mój umysł.

Właśnie teraz.

Wzdycham i poprawiam się na krześle.

Ostatnie wydarzenia za bardzo mnie rozstroiły. I chociaż nie stało się nic znaczącego, to mój umysł nie mógł porzucić myśli, że coś jest nie tak.

Bardzo nie tak...

I choć jeszcze nie wiem co, to nie znaczy, że mogę czuć się bezpiecznie.

Patrząc wstecz, na całokształt, moje życie od zawsze było bardzo bezpieczne, głównie dzięki dokonywanym przeze mnie wyborom.

I tak było mi dobrze.

Cicho, spokojnie, bez większych szaleństw, jednak z ogromem satysfakcji, jaką czerpałam z każdego dnia. Osiągnęłam w życiu wszystko, czego chciałam – skończyłam dobrą szkołę, potem studiowałam na najlepszej uczelni. Odbywałam staże zawodowe w prestiżowych ośrodkach psychologicznych i pod okiem najlepszych specjalistów w kraju doskonaliłam swoje umiejętności. Potem poszłam na swoje. Znalazłam lokal, zarejestrowałam firmę i dzięki ciężkiej pracy zyskałam opinię jednego z najlepszych psychoterapeutów w regionie. Prowadzenie gabinetu na własną rękę dawało mi niezależność finansową i pozwalało cieszyć się pracą na moich warunkach. Kupiłam mieszkanie na prestiżowym osiedlu, potem wymarzone auto.

I choć w moim życiu nigdy nie było nikogo na dłużej, nie powiem, żebym odczuwała tęsknotę za stałym związkiem.

Za bardzo cenię sobie poczucie niezależności, wolność, jaką daje mi pozostawanie singielką.

Robię, co chcę i kiedy chcę.

Mam czas na sport: bieganie i pływanie. Uwielbiam czytać, zwłaszcza powieści obyczajowe i fantasy. Poświęcam też sporo czasu na własny rozwój zawodowy – pochłaniam każdą nową książkę o psychoterapii, jeżdżę na sympozja i szkolenia. Nie robię tego z musu czy poczucia

obowiązku. Po prostu kocham swoją pracę, zarówno to, że pomagam ludziom, jak i uczucie, że jestem w tym dobra.

Uwielbiam godziny spędzone w gabinecie i uwielbiam czas w domu. Wiele wysiłku i wyrzeczeń kosztowało mnie zaprojektowanie mieszkania tak, jak sobie wymarzyłam. Ale teraz jest idealnie, biało i intymnie. Do tego mam mój taras, zieloną oazę o luksusowym – jak na warunki miejskie – metrażu. Mogę tam czytać godzinami albo przesypiać leniwe niedziele w zawieszonym przy ścianie hamaku.

A kiedy jestem już znudzona ukochaną rutyną, wybieram się w podróż. Lecę pozwiedzać któreś z uroczych włoskich miast albo wybieram się na trekking z przyjaciółką z czasów studiów. Ostatnio byliśmy na Krecie, w tym roku planujemy jechać na Korsykę. Tam podobno są najlepsze trasy trekkingowe.

Na pewno będzie miło.

Miło, komfortowo, przyjemnie. Tak jest w moim życiu. Tak Ma Być, bo do tego dążyłam przez te wszystkie lata.

A teraz do mojego uporządkowanego świata przypałał się jakiś szczeniak, który w dodatku wysła kumpla, żeby robić sobie ze mnie żarty.

I jeszcze się wyprowadził, dziad jeden.

Zaciskam dłonie i biorę głęboki wdech. Czuję teraz taką złość na Ariela, że niemal miażdżę swoje palce. Jestem wściekła na tego młodego chłopaka, że podział na mnie tak bardzo i nie dał mi szansy na oparcie się temu urokowi.

I jestem zła na siebie.

Że uległam, zatopiłam się w nim i niemal utonęłam.

Czuję, że pod powiekami zbierają mi się piekące łzy i zaraz rozplączę się jak dziecko, ale nadchodzi ratunek pod postacią pulchnego kelnera. Chłopak stawia przede mną tacę z ogromnym kubkiem kawy i podgrzaną

na elektrycznym grillu kanapką. Dziękuję mu skinieniem głowy i łyżeczką zbieram pyszną kremową piankę.

Jej smak chwilowo przenosi mnie w inne miejsce.

Niemal czuję na twarzy dotyk ciepłych promieni słońca, prawie słyszę szum fal i odgłos rozmów prowadzonych w obcym, melodyjnym języku...

Prawie.

– Dosiądę się. Pozwolisz?

Chropowaty, szorstki głos. Ciężkie, skrzypiące buty.

Podnoszę głowę i choć i tak już wiem, kogo za chwilę zobaczę, trwam jeszcze w pełnym zdumieniu.

Przede mną stoi Dominik Borkowski, mój wczorajszy pacjent.

– Absolutnie nie – odpowiadam szybko. – Proszę, odejść.

Ale brodacz nie zamierza mnie słuchać. Bezczelnie siada na krześle obok i mówi:

– Daj mi pięć minut, proszę. Wytłumaczę, o co mi chodzi.

– Nie słyszałeś? – pytam, przerywając mu. – Masz stąd odejść. To miejsce jest zajęte, a mnie nie obchodzi, co masz do powiedzenia.

– A los Ariela cię obchodzi? Czy też nie bardzo?

Już mam coś odpowiedzieć, ale słowa więzną mi w gardle.

Los Ariela...

Brodacz patrzy na mnie smutno, poważnie. Z wyrzutem? Nie wiem.

– Słuchaj – mówię spokojnie, pochylając się w jego stronę. – Nie wiem, o co wam chodzi, ale ja już z Arielem dawno skończyłam. A to, co wyprawiacie teraz... Twoja wczorajsza wizyta w gabinecie... Nie wiem, o co chodzi, ale poważnie zastanawiam się nad powiadomieniem policji.

Kłamię.

Przecież nie zadzwonię na policję i nie powiem, że pacjent powiedział coś niemiłego o moim dawnym kochanku. A ten kochanek się wyprowadził, olaboga! Tak, z mojego osiedla się wyprowadził. Nie z mieszkania. Z osiedla. Do tego ten facet się do mnie przysiadł w kawiarni, panie władzo...

Nie, no nie ma opcji.

Dominik chyba też to wie, bo kpiąco unosi brew. To sprawia, że przyglądam mu się uważniej. Dziś wygląda trochę inaczej. Normalniej. Co prawda nadal jest ogromny i brodaty, ale zamiast wojskowej kurtki ma na sobie sportową bluzę i dżinsy. Patrząc na niego teraz, myślę, że wczorajsza niezwykłość, jaką dostrzegłam w tym facecie, była wytworem mojej wyobraźni. Dominik Borkowski niczym nie wyróżnia się z tłumu i pewnie nie zwróciłabym na niego uwagi na zatłoczonej ulicy.

– Muszę powiedzieć – zaczyna cicho mój mimowolny towarzysz – że jak na swój fach, to jesteś wyjątkowo mało spostrzegawcza.

No nie!

Teraz to się we mnie zagotowało.

Jak on śmie mnie w ten sposób obrażać.

– Pewnie, bo ty wiesz to najlepiej – odpalam. – A jaki jest twój zawód, co? Myśliwy? Zawodowy hodowca lisów?

Wypowiadam te słowa w sposób, który nie pozostawia wątpliwości co do mojej pogardy dla tych zawodów.

– Jestem lektorem – odpowiada nieco naburmuszony Dominik i kieruje swoje spojrzenie w bok, jakby zawstydzony. – Podkładam głosy.

Nie mogę się powstrzymać i parskam śmiechem.

– Na przykład do tych gadających wiewiórek, Chipa i Dale'a? – pytam i uśmiecham się, choć wcale tego nie chcę.

– Na przykład. – Brodacz powoli potakuje, a ja przez jedną szaloną sekundę mam wrażenie, że zaraz powie coś śmiesznym piskiem zwierzątka z kreskówki.

Jednak nic takiego się nie dzieje i moja wewnętrzna mała dziewczynka wydaje się nieco rozczarowana.

– Spotkaj się ze mną dziś na kolacji. Musimy porozmawiać o Arielu.

Dominik mówi to zwyczajnym głosem, jakbyśmy byli co najmniej dobrymi znajomymi.

– Nie słyszałaś, co mówiłam? Mam gdzieś to, co się dzieje z Arielem! Nasz... Nasza relacja była błędem, zakończyłam ją szybko i nie chcę do tego wracać. Rozumiesz, panie lektor?

– Ariel...

– Mam to gdzieś – mówię, celowo przeciągając wyrazy. – I niech jeszcze raz jeden z was do mnie podejdzie w kawiarni albo przyjdzie do mojego gabinetu, to słowo daję, wezwę psy.

Chwytam płaszcz i torebkę, zostawiam niedopitą kawę i nawet nieskubniętą kanapkę. Roztrzęsiona wychodzę z Przytulnego Zakątka, nie oglądając się za siebie. Dopiero po chwili dociera do mnie, że zapomniałam zapłacić, ale macham ręką z myślą, że ureguluję rachunek jutro.

Popołudniowe sesje przetrwałam. Zerkając w tylko sobie znany kąt pokoju, gdzie wypełnione zielonością doniczki krzyżowały się z ostrością drewna, słuchałam, jak moje stałe klientki płyną przez morze słów.

Ja odpływałam w nieco innym kierunku.

Częścią świadomości wsłuchiwałam się w monotonne głosy. Ta bardziej dzika, nieposłuszna część mojej głowy sunęła do Bezpiecznego Miejsca.

Tam, gdzie zawsze było dobrze.

Wierzę, że każdy człowiek ma takie miejsce.

Czy istnieje ono naprawdę, czy jest reliktem pokrytej kurzem przeszłości, czy może od zawsze malowało się tylko w głowie?

Nieważne.

Tam jest dobrze. Można na chwilę uciec, odetchnąć. Zebrać trochę sił, jakby się zbierało ziarenka kawy. Zanurzyć się w puszystości nieskończonego koca.

Dla mnie takim miejscem był dom dziadków, i to do niego właśnie odpływałam, podczas gdy moja stała pacjentka, Weronika Marchowska, opowiadała o trudach swojego związku.

Chatka dziadków.

Dom Marii i Edwarda.

Położony przy wiejskiej drodze, wśród pól, które dla mnie zawsze były złote.

Kiedy się tam przenoszę, kiedy część mnie ukrywa się w Bezpiecznym Miejscu, czuję ten dom i jego otoczenie wszystkimi zmysłami.

Gorące słońce ogrzewa moje włosy, biała lniana bluzka delikatnie trzepocze na wietrze. To leżę w trawie i gapię się na chmury, to znowu siedzę na kamiennym schodku przed domem, a w ustach mam smak okropnej granulowanej herbaty i rozpływających się babcinych konfitur.

Za domem jest pole rzepaku.

I wierzby.

Lubię się pod nimi kłaść i obserwować, jak wirują ich liście. Wyobrażam sobie wtedy, że to palmy, a ja jestem słynną podróżniczką, która zaraz wyruszy odkrywać kolejne mikroskopijne, pokryte dżunglą

wyspy. I widzę babcię Marysię, jak szykuje nam naleśniki, i dziadka, jak ściskając garnek między nogami, z całej siły uciera masę na ciasto.

Jutro niedziela... Chata będzie pachniała jabłecznikiem albo innym babcinym wypiekiem. Ja, mała ja, najbardziej lubię ciasto z wiśniami. To na kruchym...

Dom Marii i Edwarda.

Zlepek smaków, zapachów i tekstur.

Nieistniejąca już kraina nostalgii, w której bukiet żółtego rzepaku zdobiący nakryty do obiadu stół był jak najbardziej na miejscu.

Tam właśnie, tam, gdzie mleko z miodem na śniadanie i chleb w zupie na obiad, tam daleko część mojego umysłu spędziła popołudniowe sesje.

Na szczęście był to czas spędzony ze znanymi mi już dobrze klientkami.

Na szczęście nic nie zauważyły.

Na szczęście...

Teraz też trochę tam jestem. W domu Marii i Edwarda. Powoli stawiając nogę za nogą, wlokę się przez park. Jest nawet znośnie, pochmurno, ale ciepło.

Chyba i dzisiaj usiądę na ławce.

Chyba dziś też pomyślę.

Syczę, kiedy przesywa mnie chłód drewnianych desek. To jednak jeszcze nie jest parkowa pogoda. Ale to nic, nie czas teraz na szukanie wygód. Z niechęcią opuszczam moje Bezpieczne Miejsce i czując jeszcze dotyk słońca na zaróżowionych policzkach, zanurzam się w dziwaczności ostatnich dni. Myślę o spotkaniu z brodaczem, dziś w Przytulnym Zakątku.

Czy powinnam się bać?

Być może, ale instynkt podpowiada mi, że Dominik nie jest niebezpieczny.

Ariel też nie.

Czego chcą? Po co mnie nagabują?

Zębami skubię usta.

Tak... Chyba... Tak.

Po dzisiejszym spotkaniu tak właśnie to wygląda. Trochę nie chce mi się w to wierzyć, ale to jedyne w miarę racjonalne wytłumaczenie. Ariel się zakochał. We mnie. Albo raczej się nie odkochał. Ale że jest nieśmiałym, wystraszonym studentem, który nie ma odwagi podejść do kobiety, to wysłał posłańca.

To takie typowe.

Kręcę głową zdziwiona, że wcześniej nie załapałam, o co chodzi.

Nieszczęśliwa miłość...

Ariel, Ariel, ty dzieciaku. Przykro mi, ale rozczaruję cię po raz kolejny.

Wstaję z zimnej ławki i podobnie jak wczoraj już w lepszym humorze zmierzam do domu. Coś mi się tylko tłucze z tyłu głowy, między smakiem granulowanej herbaty a zapachem babcinego swetra.

Gdzieś pomiędzy. Pomiedzy skrycie łykaną butelką wiśniowej nalewki dziadka, niekończącymi się lipcowymi zachodami słońca, smrodem rozgrzanego asfaltu i smakiem ciasta z wiśniami, które obowiązkowo oblane było kwaśną śmietaną.

Gdzieś pomiędzy tym wszystkim.

Gdzieś tam.

Kołacze się, tłucze i brzęczy.

Ariel.

Wieczór jest dobry. Spokojny. Jest pogoda na taras i na koc.

Jest butelka wina i jestem ja, już względnie poukładana.

To dobrze umiem, od zawsze. Układać sobie w głowie. Katalogować problemy, analizować świat. Po prawdzie trochę tego uczę moich pacjentów. Zaszczepiam im swój sposób na rzeczywistość.

Jedni to przyjmują. Inni nie – wtedy szukamy kolejnych rozwiązań.

W miarę jak upijam kolejne łyki czerwonego wytrawnego wina, wyrabianego gdzieś na południu Włoch, czuję, jak moje Bezpieczne Miejsce się zamazuje.

Odchodzi.

Ale to dobrze.

Bo znowu jest bezpiecznie tutaj. Na moim tarasie.

Na tych dwunastu metrach kwadratowych mam sporo roślin. Głównie zwisających z sufitu winobluszczczy i nieśmiertelnej lawendy angielskiej. Do tego dwie brzozy w olbrzymich donicach. Podobno są karłowate i nie urosną wielkie.

Patrzę na białe konary chudych drzewek i myślę: Proszę was, bądźcie karłowate, proszę.

Piję czerwone wino, to z Włoch, i przeglądam social media na telefonie.

Skuszona niezdrową ciekawością wpisuję w facebookową wyszukiwarkę nazwisko Dominik Borkowski. Wyskakuje ponad trzydziestu mężczyzn o tym nazwisku.

Niby mi się nie chce, ale jednak sprawdzam wszystkich. Patrzę na zdjęcia, daty urodzin, miasta, w których żyją.

Niestety, żaden z nich nie jest tym Dominikiem.

Nie dziwi mnie to za bardzo.

Brodacz nie wyglądał na typ społecznika.

Wyglądał raczej jak człowiek wysyłający sygnał ostrzegawczy. Jestem niemiły, zostawcie mnie w spokoju. Lub coś w tym stylu.

Marszczę czoło.

– No dobra, Facebook nie – mówię cicho – ale na Linked Inie powinieneś być, panie lektor.

O ile oczywiście powiedziałaś prawdę – kończę zdanie w myślach.

Klikam na ikonę aplikacji i szukam brodacza w tym popularnym serwisie biznesowym.

Jest!

Jest.

Naprawdę.

Jestem zdziwiona.

Dominik Borkowski istnieje. A do tego nie kłamał. Nie tylko na temat swojego imienia czy nazwiska, ale też zawodu.

Brodacz jest lektorem, a jego profil zdaje się prawdziwy.

Mimo wszystko w zdziwieniu unoszę brwi, żeby zaraz potem z irytacją odłożyć telefon.

Bo co właściwie on mnie obchodzi?

Nie dam się wciągnąć w te szczeniackie zabawy.

Potrząsam głową i chwytam za książkę. Czytam ją dość długo, co znaczy, że nie jest szczególnie dobra. Grzbiet jest już odkształcony, kartki wygięte. Nigdy nie używam zakładek, dlatego przeczytane przeze mnie książki wyglądają, jakby korzystało z nich już z dziesięć osób.

A to tylko ja i moje niechlujstwo.

Ale dotyczy to tylko tych kiepskich książek. Te dobre czytam szybko. Nie zdążę ich zniszczyć.

Mimo wszystko sięgam jednak po zbyt grubą jak na mój gust powieść.
Może uda mi się ją skończyć...

Dzwonek do drzwi przerywa moje plany i zmusza ciało do zmiany pozycji.

Cholera, Renata, czy ty nigdy nie potrafisz zjawić się we właściwym czasie.

Przechodzę przez salon pewna, że za drzwiami ujrzę czekającą przyjaciółkę. Nikt inny nie zna kodu do mojej klatki. Tylko Renata i moi rodzice, a oni zawsze się zapowiadają.

Bez patrzenia przez judasz chwytam za klamkę.

– Co tam, słodzika zabrakło? – pytam z wielkim uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Odklejam go szybko, widząc, kto stoi za drzwiami.

Broda i czarne oczy, najczarniejsze.

Dominik Borkowski.

– Dzwonię na policję – syczę wkurzona i przerażona. – Nie wiem, o co wam chodzi, ale chyba wyraziłam się jasno? Nie chcę mieć nic wspólnego z tobą ani z Arielem. I wynoś się z mojego osiedla, bo wezwę ochronę.

Brodacz delikatnie wzrusza ramionami.

Chyba to, co powiedziałam, nie zrobiło na nim wrażenia.

– A wzywaj sobie – mówi. – Pośmieją się razem ze mną.

– Bo?

– Bo też tu mieszkam.

Zabija mnie tym.

Moje oczy stają się większe, widzą lepiej. On ma na nogach kapcie.

– Gdzie mieszkasz? Dokładnie? – pytam, przeciągając ostatnie słowo.

– Dokładnie to pod tobą. W mieszkaniu numer cztery.

Wszystko się rozmywa, traci kształty.

Robię wdech i staram się wrócić do stanu umysłu sprzed pięciu minut.

– Przecież tam mieszka...

– Ariel. Ze mną. Mieszka – przytakuje brodacz, uważnie mi się przyglądając. – A raczej mieszkał. Wpuścisz mnie teraz?

Jego stopa, ubrana w czarną wełnianą skarpetę i ten straszny zakopiański kapeć już niemal znajduje się w moim przedpokoju. A mnie zżera ciekawość. I irytuje jego pewność siebie. Dlatego chcę go wpuścić i nie chcę jednocześnie.

– Niby dlaczego mam cię zaprosić? – mówię gniewnie. – Okay, mieszkasz sobie z Arielem, w tym bloku, okay, sorry, nie skojarzyłam cię. Może nie wiem... Byłam rozkojarzona albo... Nigdy nie zwróciłam na ciebie uwagi.

– Dużo podróżuję służbowo – odpowiada zaskakująco cicho Dominik. — Często mnie nie ma.

Kiwam głową.

– Ano widzisz, to może dlatego. W każdym razie, przepraszam, ale to, że jesteś moim sąsiadem, niczego nie zmienia. Nie chcę mieć nic wspólnego z tobą ani z...

– Wiem, ani z Arielem. – Dominik mi przerywa, po czym podnosi na mnie całą czerń swoich oczu. – Ariel uciekł.

– Jak to uciekł? – pytam, nie rozumiejąc ni w ząb, o co chodzi.

Uciekł.

Moja popołudniowa teoria rozsypuje się jak domek z kart.

Ariel uciekł.

– A był więźniem czy jak? – ostro pytam Dominika.

Czarne oczy patrzą na mnie ze smutkiem. Są jak oczy małego kundla albo zagubionego dziecka.

Wielkie i ciemne.

– Ariel jest delikatny – odpowiada Dominik wymijająco.

– A ty się nim... opiekujesz? – dopytuję.

– Tak jakby – potwierdza ledwie słyszalnie rosy brodac. – Słuchaj, czy naprawdę nie mogę wejść, porozmawiać? Chodzi o dobro Ariela.

Prycham, cały czas tamując drogę do mieszkania.

– A co ja mam z tym wspólnego? – dopytuję, choć cichy głosik z tyłu głowy podpowiada mi: bardzo dużo.

– Wszystko – odpowiada Dominik. – Wszystko to twoja wina. To, że uciekłem, to przez ciebie i to, że...

Parskam cynicznym śmiechem wprost w zalaną smutkiem twarz mojego, podobno, sąsiada.

– Ta, i co jeszcze jest moją winą? Globalne ocieplenie?

– Uciekłem, bo nie mogłem przestać cię kochać. A teraz grozi, że sobie coś zrobi.

Czarne jak węgiel oczy świdrują moją twarz, a ja tężeję od środka.

– Jak to „coś sobie zrobi”? – pytam, chcąc się upewnić, czy dobrze rozumiem.

– Krzywdę – szepcze potężny brodac.

Kiwam głową.

Cholera!

No nie!

Pochyłam się, chowam twarz za włosami i pokonana wpuszczam Dominika do mieszkania.

Wchodzi jak wampir, który tylko czekał na zaproszenie, żeby przejść przez próg i wypić moją krew.

Wkracza do mojego mieszkania. Wkracza jakby za ostro i staje na środku salonu, taki niepasujący. Zbyt kanciasty wśród miękkich linii zaprojektowanych przez znanego w regionie projektanta wnętrz. I zbyt czarny wśród jasnych barw wszystkich znanych odcieni beżu.

Stoi i stoi, a ja już żałuję, że go zaprosiłam.

I mam ochotę powiedzieć, żeby spadał.

Teraz.

Już.

Żeby zniknął z mojego życia, salonu, przedpokoju i głowy. Ale nie mogę tego zrobić.

Nie mogę, cholera no.

Jeśli naprawdę Ariel grozi, że zrobi sobie krzywdę... Już nawet nie chodzi o to, że jestem psychologiem i powinnam być wyczulona na takie deklaracje. Prawda jest taka, że jestem wyczulona.

Jestem jak cholera.

Bo chociaż to było dawno, można powiedzieć w poprzednim życiu, to wspomnienie Rudej Dziewczyny jest nadal żywe.

Płomienne jak kolor jej włosów.

Karolina Wilczyńska, piętnastoletnia pacjentka Centrum Interwencyjnego.

Karolina, która odebrała sobie życie. Ruda, z którą rozmawiałam, którą pocieszałam, dziewczyna, której ocierałam łzy. Byłam wtedy tylko stażystką, a młodą pacjentką opiekował się cały zespół złożony

z terapeutów, pracowników socjalnych, psychiatry i neurologa. Nikt nie zorientował się na czas.

Od tego zdarzenia minęło już dziesięć lat, ale nadal pozostaje ono największą porażką w mojej karierze.

Albo największą porażką w życiu.

Dlatego zamiast zwymyślać kanciastego brodacza, delikatnie siadam na kanapie i odzywam się cichym głosem:

– Dobrze, Dominik. Teraz masz moją uwagę. Opowiedz mi o Arielu.

Czarny, kanciasty i brodaty wyszedł.

Ja zostałam. Siedzę dalej na ukochanej kanapie w kolorze złamanej bieli i zastanawiam się nad pustką w mojej głowie.

Nie spodziewałam się tego.

Wszystko, co powiedział mi Dominik, zburzyło obraz Ariela, jaki nosiłam w sercu, zniszczyło to, co myślałam o naszym jakże krótkim romansie. Poprzestawiało mi w głowie, o tak.

Bo wychodzi na to, że Dominik i Ariel są parą. Są ze sobą i razem mieszkają... Czy tam mieszkali.

Brodacz poświęcił długie chwile, żeby opowiedzieć mi o nieszczęściu, które spotkało Ariela, o tym, jak Arielowi rodzice nie zrozumieli syna, nie zaakceptowali jego orientacji i po wielkim wyznaniu po prostu wyrzucili go na zbity pysk.

Ariel – w relacji Dominika chłopak niesłuchanie kruchy i o słabej psychice – załamał się, ale i nie poddał. Udało mu się zahaczyć w klubie dla homoseksualistów, mieszczącym się w piwnicy jednej z lepszych kamienic w centrum. Serwował tam drinki, nalewał piwo i uśmiechał się do

gości. Trochę palił, trochę wciągał, do tego całego brania spał w suterenie, na dziurawym materacu.

Staczał się, potykał i upadał. Wchodził w złe relacje ze złymi ludźmi, a jego piękne oczy wielu takich łotrów przyciągały. Gubił się ten Ariel.

I wtedy wkroczył Dominik. Z jego słów wynikało wprawdzie, że wszedł w tę akcję niemal jak superbohater, jednak miałam co do tego wątpliwości.

Ale nieważne...

Ważne jest to, że Dominik Arielowi pomógł. Bynajmniej nie z czystej dobroci serca, bardziej z porywu namiętności. Bo brodacz się zakochał. Ariel podobno też, w brodaczu.

I zamieszkali razem, w mieszkaniu Dominika. Tak, w tym, w którym mieszka już od dwóch lat. Mogłam go co prawda nie zauważyć, bo – jak sam przyznaje – często wyjeżdża służbowo, żeby nagrywać te wszystkie filmy i seriale, ale przecież mówił mi „Dzień dobry” tyle razy.

I ja podobno odpowiadałam, uśmiechałam się nawet.

Cholera, nie pamiętam.

Ale mogło tak być, nie za bardzo zwracam uwagę na sąsiadów. Znam Renatę, Alinę, panią Jasię spod piętnastki, szóstki i w sumie to tyle.

Jeszcze ochroniarzy znam.

Ale to też nieważne.

Ważne jest to, jak ta historia się rozwija. Historia Ariela i Dominika. No i moja.

Bo w ich związku była sielanka, radość, miłość, śniadania do łóżka i drinki na wieczór. W październiku Ariel zaczął studia, zaoczne, w Świdnicy. Odżywał.

Aż do momentu, kiedy pojawiłam się ja.

Wtedy wszystko padło – podobno, tak mówił Dominik.

A kiedy mówił, ja tylko potakiwałam i powtarzałam cicho: „Nie wiedziałam, naprawdę nie wiedziałam”.

Nie miałam zielonego pojęcia ani o preferencjach Ariela, ani o jego przeszłości, ani o związku. Byłam pewna, że to zwykły studenciak, wrażliwy chłopiec z sąsiedztwa, mieszkający z ojcem czy tam bratem.

Tak myślałam.

Myślałam, że Ariel jest samotny.

I mam wrażenie, że dobrze myślałam. Bo mimo wszystko to od Dominika uciekł. Chociaż ten twierdził, że to moja wina, że rozwaliliśmy ich związek, a teraz przeze mnie Piękny Zagubiony Chłopiec chce sobie zrobić krzywdę.

Przeze mnie. Tak, cholera. Grozi, że się zabije, bo ja go nie chcę.

I Dominik prosi mnie o pomoc. Jak ma wyglądać ta pomoc?

– Zadzwoń do niego. Tu masz numer. To nowy telefon, na kartę. Nie do zlokalizowania. Ja nie wiem, gdzie on jest, ciągle go szukam, ale nie wiem. Tylko ten telefon odbiera, ten na kartę. Zadzwoń do niego, proszę.

Te słowa dźwięczą mi w uszach, kiedy siedząc na kanapie w tym głupim odcieniu brudnej bieli, ściskam w rękach kartkę z wypisanymi cyframi.

Sześć, dziewięć, osiem, dwa, cztery, dwa, jeden, jeden, jeden.

Zadzwoń do niego, proszę.

Ten poranek jest słodki.

Kiedy tylko wystawiam stopę na zewnątrz, ciepłe powietrze otula moje ciało jak kokon z cukrowej waty. Idę przez osiedle powoli i napawam się tą

słodyczą. Rozkoszuję się promieniami słońca na twarzy, wsłuchuję w radosne skrzypienie butów do biegania i z uwagą przyglądam się mijanym osobom.

Moim sąsiadom.

Czy kiedykolwiek tak naprawdę na nich patrzyłam?

Czy wiedziałam, co robią i kim są?

Jak wyglądają?

Nie, nie wiem za wiele.

Renata często opowiada mi o tych spod piątki czy tamtych z pierwszej klatki. Ale teraz nawet nie potrafię przywołać w pamięci ich imion. Są tacy sami, oni wszyscy. Blade, opatulone szalikami, ciemnowłose stwory.

Nie mają twarzy, osobowości.

Po prostu idą. A ja idę obok nich i nie przejmuję się ich bezbarwną egzystencją.

Nie zauważam ich, ale teraz zmuszam się, żeby patrzeć.

Babcia z dwojgiem dzieci, na oko dwuletnim chłopczykiem i starszą dziewczynką. Wszyscy rudzi i piegowaci. Potem kobieta po trzydziestce, w modnych wysokich kozakach, na które jest dziś zdecydowanie za ciepło. I mężczyzna z psem i rozmarzonym wyrazem twarzy.

A w końcu widzę połyskujące w słońcu kruczoczarne włosy i kolorowy strój do biegania.

Śniada cera Renaty zdaje się idealnie pasować do tego słonecznego poranka, a jej szczupła sylwetka rzuca długi cień na kostkowany chodnik. Renata dostrzega mnie i obnaża w uroczym uśmiechu rzędy perfekcyjnie białych i idealnie ustawionych przez ortodontę zębów.

Muszę ją wypytać. O Ariela i Dominika. Sprawdzić, co wie, tylko tak dyskretnie.

Żeby to ona nie zaczęła wypytywać mnie.

Delikatnie.

– Cześć – rzucam na powitanie, starając się przybrać neutralny wyraz twarzy.

– No siema, a coś ty taka blada? – Czarne oczy Renaty wpatrują się we mnie intensywnie.

– Blada? – powtarzam za nią jak echo i niemal bezwiednie podnoszę dłoń do policzka.

– Pewnie. Jesteś biała jak dziewczyna Edwarda. – Na twarzy Renaty pojawia się chytry uśmiech, a ja zdeorientowana marszczę brwi.

– Dziewczyna kogo? – pytam, a moja przyjaciółka przewraca oczami.

– Wampiry, Nanu, chodzi o wampiry. Że jesteś blada jak wampir, miałam na myśli. Co ty, Edwarda nie znasz?

– Nie – mówię zgodnie z prawdą, chociaż wiem, że nie takiej odpowiedzi spodziewa się Ren.

– Ale ty niemłodzieżowa jesteś. I nie znasz się totalnie. – Renata zniecierpliwiona moją ignorancją macha ręką. – Widać, Nanu, że dzieci nie masz. Jak można Edwarda nie znać? Ale mniejsza z tym, powiedz, co ci się stało. Wyglądasz, jakby cię walec przejechał.

Wzdycham i patrzę w kocie oczy przyjaciółki. Renata jest dobrym obserwatorem.

Nic się przed nią nie ukryje.

– Dobra, powiem – przytakuję, sama zaskoczona swoją szybką kapitulacją. – Ale najpierw biegniemy do mostu. Muszę to z siebie wyrzucić.

Renata przygląda mi się uważnie i jestem pewna, że ocenia teraz kruchość mojego stanu mentalnego, dlatego na potwierdzenie swoich słów

poruszam szybko ramionami, jakbym chciała zrzucić z nich niewidoczny ciężar.

Mam nadzieję, że to podziała, że Renata odpuści i nie będzie mnie wypytywać tutaj, na Tym Osiedlu.

I mam rację, bo już po chwili patrzę na prędko uciekający tył czerwonej bluzy Renaty.

– Jak masz zrzucać, to zrzucaj. Tylko się pospiesz, bo ja nie mam całego dnia.

Ruszam za nią wpatrzona w jej krótki czarny kucyk.

I podejmuję decyzję.

Nie będę wypytywać Renaty.

Poproszę ją o pomoc. I liczę na to, że się zgodzi.

Kiedy dobiegamy do małego mostu, Renata jest wykończona bardziej ode mnie. Narzuciła mordercze tempo i teraz, ciężko dysząc, opiera dłonie na udach, starając się uspokoić oddech.

Ja też czuję, że brakuje mi powietrza, i haustami łykam świeżość kwietniowego pola.

– Uważaj – mówię do przyjaciółki – bo wyskoczę teraz z Arielem.

– Też mi nowość. – Renata powoli prostuje plecy i patrzy na mnie z wyższością. – Chcesz mi teraz wyznać, że bzykałaś pięknego małolata? Kobieto... – Przewraca oczami, a ja czuję, jak supeł zdenerwowania zawiązuje się na moim żołądku.

– Wiedziałaś? – pytam cicho.

– Nanu, pewnie. Serio, czasami jesteś wyjątkowo mało spostrzegawcza. Ciężko mi uwierzyć, że zarabiasz na obserwacji ludzi, ale mniejsza o to. –

Macha lekceważąco ręką.

A ja się zapadam.

Pod ciężarem niewiedzy, złości i tej specyficznej nienawiści, jaką można czuć jedynie do najlepszej przyjaciółki.

– Powiem ci nawet, że Aneta z parteru, wiesz, ta od ciebie z klatki, też się domyślała. Nieraz mnie o was wypytywała. Nie mówiłam ci, bo nie chciałam cię denerwować.

– Jasna cholera – klnę cicho i spuszczam głowę.

Renata prychnęła.

– Lalka, nie pękaj. Wyrwałaś najlepsze ciacho na tym osiedlu. Wszędzie brzuchaci tatusiowie, a ty, kobieta przed czterdziestką, dałaś czadu z tym gówniarzem. Musiał być boski. Młodzi są tacy energiczni, pełni werwy, seksowni.

– Renata... – warczę, bo słyszę w jej głosie tę żądną sensacji nutkę. Nie tego teraz potrzebuję. – Teraz nie pora na takie gadanie. Ja...

Urywam na chwilę. Milczę. Zastanawiam się.

Cholera!

– Potrzebuję cię – wyduszam w końcu.

– Okay. – Renata kiwa głową.

– Wiesz, że miałam romans z Arielem. Dobra. A wiesz, że Ariel mieszka ze swoim chłopakiem?

Oczy Renaty robią się coraz mniej skośne i coraz bardziej okrągłe.

Nie wiedziała.

– Tak, bo widzisz, Ren, sprawa wygląda następująco: przez jakiś czas spotykałam się z Pięknym Chłopcem, a teraz on wyjechał. Uciekł z domu. Jego chłopak, ten, któremu Ariel przyprawił ze mną rogi, prosi mnie teraz o pomoc, bo Ariel zniknął i groził, że coś sobie zrobi.

Kończę. Znowu oddycham.

– A ty masz pomóc? Jak? I dlaczego ty?

Wzdycham. Wciągam głęboko do płuc kwietniową zieleń i nagły wybuch wiosny.

Spokojnie, tylko spokojnie.

– Niby mam do niego zadzwonić. Do Ariela. Ale myślę, że kryje się za tym coś jeszcze.

– Ale dlaczego ty? – Renata naciska, a ja przygryzam usta.

Nie ma sensu nic ukrywać.

– Bo to przeze mnie uciekł. Zakochał się, a ja go wystawiłam.

Renata milczy przez chwilę. Odwraca twarz do słońca, przymyka powieki i pozwala zbawiennym promieniom przekraczać granice skóry.

– Ja cię rąbię, Nanu – wysypuje po chwili. – Byłam pewna, że będziesz marudzić, że wyjechał, że cię zostawił. Romans to jedno, ale ta sprawa mi się nie podoba.

– Ren – przerywam jej błagalnym tonem. – Proszę, powiedz mi wszystko, co o nich wiesz. O Arielu i Dominiku.

Przyjaciółka odwraca się w moją stronę, ale jej powieki nadal są zamknięte.

Jakby nie chciała, żebym widziała jej oczy.

Jakby coś ukrywała...

Nie, nie! Natalia, opanuj się. Zaczynasz popadać w paranoję.

Paranoja.

– Nie wiem wiele. I chyba nikt na osiedlu nie wie. Byłam pewna, że ten cały Dominik jest jego bratem. Są trochę podobni. Ale poza tym... Ariel to ciacho, ten drugi raczej nie rzuca się w oczy. Chyba często go nie ma. Jest taki... Nie wiem, jak to określić. Przezroczystry jakiś. W sumie to ledwo

kojarzę, jak wygląda. A Piękny Chłopiec? Wszystkie o nim mówią. Na placu zabaw, na siłowni i na spacerach z psami. Młody, zbuntowany, wrażliwy. Niczym jakiś bohater dramatu z epoki romantyzmu. To maślane spojrzenie, ten uśmiech. W sumie to teraz wydaje mi się wręcz oczywiste, że Piękny jest homo. Nie wiem, jak mogłam nie wpaść na to wcześniej. Chyba ta twoja obsesja na jego punkcie zamydliła mi oczy.

– Ren, do brzegu – dyscyplinuję przyjaciółkę. – Co o nim mówią?

Renata posyła mi słaby uśmiech i macha ręką.

– To, co ci powiedziałam. Że miły, że słodki, że zakupy przynieść pomaga i zawsze mówi „Dzień dobry”. I tyle.

– Więc nic nie wiesz – kwituję zawiedziona i opuszczam głowę.

– Nie bardzo.

– Ren – mówię, podnosząc oczy na przyjaciółkę. Jej wzrok ucieka.

Czyżbym miała rację? Ukrywasz coś?

Mówisz mi całą prawdę, Ren? Mogę na ciebie liczyć? Czy może sąsiedzkie zawilości są bardziej poplątane, niż sądziłam, a ty jesteś częścią tego bałaganu?

Mówisz prawdę, Ren? Błagam, mów...

Bo mam tylko ciebie.

– Dowiedz się – proszę z mocą w głosie – wszystkiego, czego zdołasz. O Arielu i Dominiku. Popytaj na placu zabaw, na siłowni, w klatce i nie wiem... No wszędzie, gdzie możesz. Zapytaj tę Alinę i może Jaśkę, tę Karolinę, co ma córkę w klasie Marcela. I Dzikowską zapytaj. I męża nawet. Wszystkich. Proszę.

Kruczoczarny kucyk mieni się w słońcu, a kiedy Renata kręci głową, jej włosy zdają się wręcz iskrzyć.

– Jasne, Nanu, dla ciebie wszystko. Popytam i dowiem się, możesz na mnie liczyć. Tylko proszę cię o jedno.

– Tak?

– Nie mieszaj się w to gównu. Nie dzwoń do niego.

Potakuję, a w uszach dźwięczą mi dwa głosy. Gruby i chropowaty oraz wysoki i delikatny.

Zadzwoń do niego.

Nie dzwoń do niego.

Po chwili już biegniemy z powrotem, a ja wiem, że wbrew zdrowemu rozsądkowi i radzie najlepszej przyjaciółki posłucham tego ciemnego głosu.

I zadzwonię.

Popołudniowe słońce przebija się przez brązowe żaluzje, tworząc ułudę nadmorskiego zachodu.

Ja cała drzę.

W tym drzeniu ciskam telefon na kanapę w kolorze złamanej bieli.

Cholera! Po co ja to robiłam?

Ren miała rację, mogłam nie dzwonić.

Opadam na kanapę i siadając obok iPhone'a, ukrywam twarz w dłoniach.

Co za pieprzony manipulant! Głupi małolat! I cham.

Jezu, dlaczego ja dałam się na to namówić, dlaczego?

Ten dźwięczny głos małego chłopca, to błaganie i ukrywany oddech. I te szczeniackie żądania. Cholera, cholera, cholera.

Kładę się na kanapie i przyciągam nogi do piersi. Czuję, jak piekące łyzy spływają mi po policzkach wprost na miękkie obicie kanapy.

Słone łyzy wprost na moje gładkie życie.

Płaczę i odpływam. Do miejsca, gdzie kiedyś w pewien zimny wieczór poznałam Ariela.

I się zakochałam.

Listopad, kilka miesięcy wcześniej

Dzień dobry, Ariel

Jesienna szarość wchłania wszystko. Jest jak wielka oślizgła ośmiornica, która swoją brzydotą przykrywa żywy jeszcze chwilę temu świat. Teraz na zewnątrz jest tylko ona – bura ośmiornica o zachłannych mackach. Strąca liście z drzew, przykrywa błękit nieba i moczy chodniki.

Listopadowy potwór.

Na szczęście mam mój taras, a na nim wiele zwisających zimozielonych roślin. Mam też piecyk gazowy, mam grzane wino z cynamonem. Nogi przykryłam starym pledem, a na plecy zarzuciłam puszystą bluzę.

I teraz jest dobrze.

Tak jak lubię. Spokojne piątkowe popołudnie z widokiem na Góry Sowie u progu zimy. Za jakiś czas te szczyty staną się białe i piękne jak z alpejskiej pocztówki.

A teraz jest czas przejścia.

Jesień.

Zima.

Może w styczniu zrobię sobie wakacje i wyjadę do ciepłych krajów? Dwa tygodnie w Meksyku powinny pomóc mi w przetrwaniu tego

ciemnego czasu.

Dopijam wino i czując pod językiem drobinki aromatycznej przyprawy, dochodzę do wniosku, że to całkiem niezły pomysł. Meksyk w styczniu. Cicha biała plaża, różowe drinki, oderwanie od śniegu i wilgoci zimowego miasta.

Na skrzydłach tej wizji lecę do kuchni po kolejną porcję rozgrzewającego napoju. I kiedy już mam przelewać wino z garnka do zakupionego na bożonarodzeniowym jarmarku kubka, słyszę to.

Chrobotanie. Muskanie. Piski.

Sztywnieję i odkładam kubek.

Znam te dźwięki. Już rok temu się tu przedostały. Paskudne potworki były w stanie wedrzeć się przez rury kanalizacyjne nawet na drugie piętro.

Okropne, obrzydliwe, straszne.

Myszy.

Wzdrygam się i od razu przed oczami pojawia mi się obraz babcinej spiżarni, gdzie przebrzydłe stwory żyły wśród zapasów cukru czy mąki.

Ich długie ogony, łyse łapki i brudna sierść. I te odgłosy, dla mnie tak przerażające.

To fobia, wiem to. Ale ta wiedza nie powstrzymuje mnie przed wybiegnięciem na korytarz i trzaśnięciem drzwiami.

Myszy w domu! Znowu!

Strach i obrzydzenie ściskają mi gardło. Rok temu też tak było. Wtedy pomógł mi sąsiad Mateusz z naprzeciwka. Zabił myszy oraz zostawił pułapki i trutki dla tych, które potencjalnie mogły się zjawić.

Wtedy pomogło.

Ale Mateusz i jego żona Marika już nie mieszkają naprzeciwko. Wyprowadzili się, kiedy na świat miało przyjść ich pierwsze dziecko,

i mieszkanie od kilku miesięcy stoi puste. Chyba czeka na kupca.

Gorączkowo myślę, co zrobić. Mogę zadzwonić do Renaty, ale ona jest teraz u kosmetyczki, później odbiera dzieci od mamy. Pewnie przyjechałaby za dwie, trzy godziny.

Ja nie mogę czekać tak długo.

Myślę o sąsiadach z dołu.

Pod trójką mieszka starsza kobieta, która chodzi o lasce. Ona mi raczej nie pomoże. Obok niej pod czwórką mieszka Piękny Chłopiec.

O tak. On może pomóc. Jeśli jest w domu. A pewnie go nie ma. Piękni chłopcy nie spędzają piątkowych wieczorów na oglądaniu telewizji. Takie ciacha bawią się na mieście.

Jest więc niemal pewne, że go nie ma, niemniej postanawiam spróbować.

W samych kapciach scho dzę na pier wsze piętro i zdenerwowana naciskam dzwonek mieszkania numer cztery.

Ku mojemu zdziwieniu drzwi się otwierają, a w progu stoi Piękny Chłopiec.

Jest tak ładny, że aż zapiera mi dech. Miodowe oczy na szczupłej twarzy są tak wyraźne, rysy delikatne, a dwudniowy zarost nadaje mu uroku zbuntowanego nastolatka.

I ten uśmiech.

Milion dolarów w drgnięciu warg.

Cholera...

– Tak? – Niski głos. Zamszowy. Głos aktora, wygląd modela.

Natalia, uspokój się! – strofuję sama siebie i głośno przetykam ślinę.

– Cześć. Jestem Natalia. Sąsiadka z góry. Mam problem...

– Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować.

Miodowe oczy przeszywają mnie na wylot. Ariel też boi się myszy. Ale mimo to pomógł.

Zabił bure obrzydlistwo, porozstawiał pułapki i trutki. Słodki, pomocny, uroczy Piękny Chłopiec.

– Chętnie napiłbym się drinka.

Kąciki idealnie wykrojonych ust delikatnie drgają.

Nie spodziewałam się tego.

– W takim razie na co masz ochotę? Dla bohatera wszystko.

Mówił dużo. O studiach, o pracy. Ja opowiedziałam mu o swojej na tyle, na ile mogłam. Zwierzał się i przyznał do wrażliwości nieco większej niż u rówieśników.

Było nam dobrze. Słodko-gorzki alkohol uderzał do głowy. Osłonięte szarą bluzą ramię Ariela zbliżało się do mojego ramienia. Jego oczy iskrzyły się coraz bardziej, choć nie wiedziałam, czy to w ogóle możliwe.

Kiedy dotknął mojej nogi, nie zastanawiałam się.

Kubek po winie odstawiłam na stolik, żeby poznać miękkość różowych ust i siłę tych ramion.

On pociągnął mnie za włosy, trochę za mocno.

Było coraz więcej języka i coraz mniej ubrań.

W mojej głowie szumiało i dźwięczało, kiedy ściągał mi spodnie. Rozlał drinka na białej kanapie, a ja nie przejęłam się tym w ogóle.

Jeszcze więcej języka.

Jeszcze mniej ubrań.

Kwiecień

Budzę się z bólem głowy, wciąż czując na sobie dotyk ciepłych dłoni Ariela. Ale wpadająca przez okno świeżość szybko orzeźwia mój umysł i sprawia, że wspomnienie listopadowego wieczoru blaknie.

Podnoszę sztywne od spania w niewygodnej pozycji ciało i z tęsknotą myślę o jesiennej wilgoci i dotyku Pięknego Chłopca.

Ariel, ty cholerniku, coś ty zrobił najlepszego?

Do czego doprowadziłeś mnie, kobietę w czwartej dekadzie życia, kobietę z planem ułożonym na wszystkie dni tygodnia?

Wstaję i wzdycham.

Czy mam ulec twoim szczeniackim szantażom?

Podchodzę do lustra i przypatrując się wymiętej wersji mnie, dochodzę do wniosku, że nie mam innego wyjścia. Nie zostawiłeś mi wyboru, Piękny Chłopcze.

Zarzucam na ramiona zmechacony już sweter z zielonej wełny i pełna żalu, determinacji i piekącego ognia wychodzę na zimną i bezosobową klatkę schodową. Pokonując kolejne stopnie, zbliżam się do mieszkania numer cztery. Kiedy stoję przed drzwiami z ciemnego dębu, wstrzymuję na chwilę oddech. Potem bardzo wolno wypuszczam powietrze i pieczętując swój los, naciskam przycisk dzwonka.

Słyszę świst otwieranych drzwi i widzę ciężką postać Dominika.

Broda. Czarne węgle w miejscu oczu. Ciemne ubranie.

Dominik Borkowski.

Człowiek bez dna.

– Zadzwońłam, jak prosiłeś – mówię prosto z mostu, nie siląc się na powitanie. – To, co powiedział, było...

– Wiem. – Dominik przerywa mi z przepaszającą miną, co paradoksalnie jeszcze bardziej mnie rozjusza.

– Nic nie wiesz – mówię podniesionym głosem. – Te jego żądania. To jest tak szczeniackie, prostackie i chamskie... Głupie, tak głupie, że jak o tym myślę, to ledwo mogę oddychać. To... czyste... dziadostwo.

Syczę i sapię. Moja tolerancja na skrajne emocje chyba właśnie się skończyła.

– Rozumiem cię, słowo, wiem, jak to musi wyglądać.

Dominik znowu wyjeżdża z przepaszającym tonem, a ja szybko mu przerywam.

– Dominik, on brzmi... źle. Masz rację, musi być w fatalnym stanie. Naprawdę nie wiesz, gdzie on jest?

Spuszczona czarna głowa porusza się w prawo i w lewo.

– Nie. Ale pracuję nad tym.

– Niby w jaki sposób?

Czarna czupryna sunie w górę i węglowe oczy zatapiają się w mojej twarzy.

– Wynająłem agencję. Detektywistyczną. Do tego wzięłem urlop i szukam go na własną rękę. Cały czas. Nieustannie.

– Dobrze. – Kiwam głową i wzdycham. – A co do tego jego żądania... Chociaż to raczej szantaż.

– Wiem, co myślisz. – Dominik znowu mi przerywa, a ja unoszę z powątpiewaniem brwi. – To żądanie, jak to nazwałaś, nie jest jednak

wymierzone w ciebie, tylko we mnie. To chyba taki rodzaj kary.

– Nieważne. – Ja też wchodzę mu w słowo. – Chcę ci powiedzieć, że... kurde, zgoda. Niech będzie.

– Serio? – Czarna głowa kołysze się na boki, a lśniące włosy zabawnie przy tym podskakują. – Zgodzisz się, żebym się do ciebie... wprowadził? Na te parę dni?

– Tak, boję się o Ariela. Tak, niech będzie.

– Wow!

Brodacz jest zdziwiony.

Ja w sumie też.

– Bo wiesz, mylisz się. To nie kara dla ciebie. To zemsta na mnie. Ale okay, niech się mści. Byle wrócił cały i zdrowy.

Milczy, ale jego oczy mówią „dziękuję”.

– Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie – proszę, czując, że mogę. – Za sto punktów.

Smutny uśmiech osładza chropowaty głos. Głos, który się poddał.

– Strzelaj – chrypi.

– Dlaczego przyszedłeś do mnie do gabinetu? A potem przysiadłeś się do mnie w Przytulnym Zakątku? Nie mogłeś po prostu podejść na górę? Tak jak wczoraj?

Uśmiech staje się trochę bardziej uśmiechem, kiedy brodaczu odpowiada.

– Chciałem cię poznać, wy badać. Bardzo zależało mi na tym, żebyś pomogła. Mimo wszystko. Żebyś pomogła Arielowi.

Ach tak. Rozumiem, ale nie odpowiadam. Komentuję jego odpowiedź milczącym trwaniem na progu mieszkania numer cztery.

I tak mija kilka cichych, pełnych niepewności sekund.

– To... – zaczynam, nie wiedząc, co teraz powiedzieć.

– To przyjdę z rzeczami za godzinę?

Odpowiadam skinieniem głowy i robię krok w kierunku schodów.

Ciche „Natalia” sprawia, że się zatrzymuję.

Patrzę na niego. Broda, węglowe oczy, czarne włosy. Człowiek bez kresu, bez początku i bez końca.

– Wiesz, że nie jestem żadnym zboczeńcem ani popaprańcem? Okropnie mi głupio, że wplątałem cię w tę sytuację, ale wiesz... porządny ze mnie facet.

– Wiem – mówię. – To akurat sprawdziłam.

Dominik Borkowski zjawia się w progu nieco później, niż zapowiadał, bo kilka minut po dwudziestej pierwszej.

Wygląda jak zbity pies.

Brodaty, załamany, zapyziały szczeniak.

Kiedy patrzę, jak jego buty dotykają jasnej podłogi przedpokoju, a stukot kółek małej torby podróżnej rani moje uszy, czuję się jak kompletna idiotka.

Czy popełniam błąd?

Na sto procent.

Ale co innego mogę zrobić?

Zatopiony w rozpacz głós powiedział, że mamy razem pomieszkać, bo inaczej on zrobi sobie krzywdę.

I nie wróci. Nigdy.

A ja wiem, że mówił prawdę. Ta beznadzieja i mroczna determinacja po drugiej stronie łącza nie mogły być udawane. Ariel się załamał, to pewne.

A ja, mimo że nie chcę mieć z nim nic wspólnego, nie pozwolę też na to, żeby moja osoba w jakikolwiek sposób doprowadziła do jego krzywdy.

Znajdziemy go, ja i Dominik. A potem o nich zapomnę.

Cholera, mogę się nawet wyprowadzić.

– Gdzie mógłbym...? – Brodacz zawiesza głos i nieporadnie wskazuje na swoją walizeczkę na zbyt głośnych kółkach.

Jest taki kanciasty w moich miękkich pokojach.

Zbyt czarny, zbyt duży, zbyt wszystko.

Albo jego węglowe oczy są przerażone, albo widzę w nich odbicie własnego strachu.

Boże, po co ja się na to godziłam?

– Mam pokój gościnny. Mieszkam sama, więc go nie używam. Ma trochę surowy wystrój. Jest tylko łóżko i biurko. Ale powinno wystarczyć, a jeśli nie, to...

– Wystarczy. Mam tylko ubrania na jutro. I kilka kosmetyków.

Głośno przełykam ślinę. Moje gardło jest suche, ściśnięte, dłonie delikatnie drżą. Ze zdenerwowania? Tłumionej złości? Skrywanego buntu?

Chyba wszystkiego po trochu.

– To tylko kilka dni – mówię bardziej do siebie niż do Dominika, ale on energicznie potakuje w odpowiedzi na pytanie, którego nie zadałam.

– Kilka. Cztery, góra pięć. A może nawet i mniej, bo jeśli udowodnię Arielowi, że naprawdę tu śpię, ta zabawa może mu się znudzić. A jeśli nie...

– To go znajdziesz. Bo szukasz. I on wróci. Za kilka dni.

Te krótkie zdania padają z moich ust niemal bez udziału świadomości. Chcę przekonać sama siebie, że pozwalając kanciastemu mężczyźnie zająć pokój gościnny, robię dobrze.

Robię, co muszę.

Splacam dług i przez to uwalniam się od tego poplątanego sąsiedzkiego trójkąta.

Wylatuję.

– A jak... – zaczynam, ale słowa gubią się w mojej głowie. – Jak mu to udowodnisz? Że tu mieszkasz?

– Zdjęciami – odpowiada. – Może to nawet by wystarczyło. Ale obawiam się, że mógłby wyczuć kłamstwo. I wtedy...

– Jasne, rozumiem – szybko wchodzę mu w słowo. Nie chcę roztrząsać, co by było wtedy. – Chodź, wszystko ci pokażę. Masz kapcie?

Brodacz niemrawo człapie za mną, kiedy oprowadzam go po ukochanych siedemdziesięciu metrach kwadratowych. Tu jest łazienka, tam szafka, rozpakuj tam rzeczy, bez problemu, tu kuchnia, tam kawa, herbata, pij, jedz, nie, w ogóle się nie krępuj.

Nie przepraszaj.

To ja powinnam przepraszać.

Bo to moja wina, ten cały dramat Ariela, to wszystko moja wina.

Nie kłóćmy się, pogadamy rano. Jasne, możesz wziąć prysznic.

Kiedy drzwi łazienki się zamykają, a do moich uszu zaczyna dochodzić odgłos wody skapującej z deszczownicy, rozluźniam się na tyle, że znowu jestem w stanie oddychać.

Wdech, wydech.

Powoli.

Jakbyś dmuchała na łyżkę wody, Nanu. Tak właśnie. Tak jak mówisz swoim pacjentom.

Wchodzę do kuchni z zamiarem zrobienia herbaty. Deszczownica dalej tryska wodą, słyszę to przez ściany z gips-kartonu. Brodacz pod

prysznicem. Moim prysznicem.

Co ja tu chciałam...?

A, herbata.

Zrobię i jemu. Niech wie, że nie jestem złem wcielonym. Niech wie.

Nastawiam wodę i myślę o tym, jak to będzie jutro. Jak będzie dziś w nocy. Z brodaczem o węglowych oczach śpiącym za ścianą. Te myśli sprawiają, że znowu robię się niespokojna. Odpycham je, tłamszę i kopię wizją Bezpiecznego Miejsca.

Dom babci i dziadka.

Ganek z lipowego drewna, stare, szorstkie w dotyku koce, kawa inka z mlekiem i miodem. Dziadek gra na harmonijce, a wokół mnie latają brzęczące owady. Jest już ciemno, ale nadal bardzo ciepło. Jest lipiec. A ja zasypiam w objęciach dziadkowej melodii i letniej duchoty.

Odpływam.

Jest dobrze.

To wspomnienie sprawia, że odzyskuję panowanie nad ciałem.

Czajnik gwizdże, Dominik Borkowski wchodzi do kuchni. Nie widzę go, ale słyszę skrzypienie jego kapci.

– Herbata dla ciebie. Ja jestem już zmęczona. Idę spać. Pogadamy rano.

Szybko podaję mu kubek i staram się na niego nie patrzeć, ale to na nic.

Na nic.

Bo mój wzrok i tak pada na szeroką klatkę piersiową osłoniętą dzianinową koszulką. Na nagie ramiona. Na oczy, węglowe, obrysowane czernią jak u górnika po zmianie.

– Dziękuję – słyszę za plecami i przyspieszam kroku.

Kiedy jestem w swojej sypialni, ciężar z moich ramion w końcu spada.

Dlaczego się tak denerwuję?

Przez Ariela?

Czy przez Dominika?

A może po prostu przez to, że komfortowa stabilność w moim życiu została tak bezczelnie naruszona.

Ale muszę to przetrwać. Wytrzymać, spłacić dług.

– To tylko kilka dni – szepczę sama do siebie i osuwam się na łóżko.

Dziś chcę już tylko spać.

I śnić o czymś dobrym.

Grudzień Żegnaj, Ariel

Okres między świętami a Nowym Rokiem to swoisty czas zawieszenia.

Nie dzieje się wtedy zupełnie nic, a świat wydaje się zwalniać i toczyć zamiast kręcić.

Bezruch i oczekiwanie. Zastój.

Tak zawsze myślałam o tych kilku dziwacznych dniach pod koniec roku. Jako dziecko nie chodziłam wtedy do szkoły i nie bardzo wiedziałam, co zrobić z czasem. Teraz, kiedy żaden z moich pacjentów nie chce umawiać się na wizytę w tej czasoprzestrzennej dziurze, też za bardzo nie wiem.

To sprawia, że mam za dużo czasu. Na myślenie. Na to, co zostawiłam Na Potem czy Na Kiedyś Tam.

Czas na zrobienie porządku. Z Arielem.

Przez te kilka zawieszonych nigdzie dni przemyślałam wszystko dokładnie.

Zanalizowałam nasze wieczory na kanapie albo w łóżku. Bardziej bez ubrań, bardziej bez zmartwień. Popołudnia przy opuszczonych roletach, kiedy myślałam tylko o tym, jak język Ariela kreśli wzory na moim brzuchu.

To było „N” czy serce?

I jego ręka w moich majtkach, a potem czarna koronka na podłodze. Pot i śmiech. Mogłabym tak bez końca. Tyle że nie mogę.

Nie mogę, cholera, umawiać się z przedszkolakiem.

Piętnaście lat młodszy, zbuntowany i zagubiony student. Nie, Ariel, nie ma dla ciebie miejsca w moim życiu.

– Nie wierzę – mówi cicho. – Mówiłaś tyle rzeczy. Ja też... Czuję to naprawdę. Jesteś... Natalia, jesteś dla mnie ważna. Nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak ty.

– No właśnie – przerywam.

Bo już nie mogę tego słuchać.

– Kobiety, Ariel. Ja jestem kobietą, a ty powinieneś umawiać się z dziewczyną.

– Co ty pieprzysz, Natalia? Serio, o to chodzi? Dlatego pasuje ci, że widzimy się tylko w domu? Wstydzisz się mnie? Bo jestem za młody?

Jego wzrok jest ciężki, a w pięknych słomianych oczach błyszczą łzy.

– Ariel, znajdziesz kogoś.

– Chcę ciebie.

– Widzisz, już właśnie to, że tak mówisz, jest niedojrzałe.

Kręci głową.

Płacze. Cholera, on naprawdę płacze.

Zaczyna mi brakować tchu.

– Mówiłaś, że ci na mnie zależy.

– W łóżku ludzie mówią różne rzeczy.

– Natalia! Przestań pieprzyć. Po prostu kłamałaś.

Miodowe oczy ciskają gromy. Topię się pod tym spojrzeniem. Nie wytrzymam tego. Chcę moje życie z powrotem.

– Ariel, wynoś się. Wyjdź. Teraz.

Wyrzucam go za drzwi.

Wyrzucam go z serca.

Kwiecień

Poranek jest dziwny jak obrazy Edwarda Muncha. Abstrakcyjny i niemożliwy.

Szalony i nieakceptowalny.

Siedzę przy kuchennym stole, popijam czarną kawę i patrzę w najciemniejsze na świecie oczy. Duża dłoń Dominika sprawia, że mój stół, który wcześniej określałam jako sporych rozmiarów, teraz zdaje się za mały.

Nieprawdziwy. Stolik dla lalek. I kubki dla lalek, takie nieforemne w tych wielkich palcach.

Mimowolnie oblizuję usta. W tym facecie jest dużo Tego Czegoś, tego, co podoba mi się w mężczyznach. Cytrynowy zapach świeżości zmieszany z czymś ostrym, agresywnym. Ciemna broda, chyba już trochę za długa. Milczące pełne usta.

Może gdyby Dominika interesowały kobiety...

Kręcę głową zniesmaczona własnymi myślami i żeby pozwolić im uciec, pytam:

– Co będziesz dziś robił? Szukał go?

Pełne usta odrywają się od kubka.

– Tak.

– W jaki sposób go szukasz?

Dominik garbi plecy i patrzy na mnie spode łba.

– Sprawdzam teren. Miejsca, w których bywał. I Internet. Social media, strony, na których się udzielał. Kontaktuję się z jego znajomymi. I dzwonię do niego. Codziennie z pięć, sześć razy. Zawsze mam nadzieję... że powie, gdzie jest. I że wróci.

Wielkie plecy się prostują.

– A ty? Jakie masz plany na dziś?

Marszczę czoło. Plany...

– Normalne. Idę do pracy. A potem na lunch do Przytulnego Zakątka. I znowu do pracy. Będę o osiemnastej.

Ciemna głowa porusza się to w górę, to w dół, chyba okazując zrozumienie.

– Okay. Wyjdę z tobą. Nie ma potrzeby, żebym tu był, kiedy cię nie ma. Zresztą pewnie byś tego nie chciała. Poszukam go, ogarnę parę spraw i wrócę na osiemnastą.

– Być może – odpowiadam i uważnie śledzę reakcję Dominika.

Czarne oczy nie rozumieją, a mój żołądek ścisną strach.

– Być może? – powtarza z pytaniem w głosie.

– Wrócisz na osiemnastą, chyba że go znajdziesz. Wtedy to się skończy.

Dominik spuszcza wzrok. Chce coś ukryć. Widzę to.

– Jasne. Jeśli go znajdę.

Kiwam głową, ale w moim umyśle jest coraz więcej zwątpienia.

Co ukrywasz, Dominiku?

Czemu kłamiesz?

Kiedy wracam do domu, brodacz stoi już pod moim mieszkaniem. Ma ze sobą walizkę na kółkach, tę samą co wczoraj, a w rękach trzyma papierową torbę. Pachnie apetycznie.

Czarne oczy uśmiechają się delikatnie. Usta suną w górę tylko tak trochę, z nadzieją...

– Pomyślałem, że będziesz głodna – mówi cicho zamiast powitania. – Lubię gotować.

Uśmiecham się. Mimo wszystko, mimo całej niepewności, jaka przepełnia moje serce, wargi drgają.

Wyszukuję w torebce klucze i mijam Dominika.

– Nie powiedziałałabym tego o tobie. Że lubisz gotować.

Wzrusza ramionami. Zawstydzony?

– A widzisz – mówi i wchodzi za mną do mieszkania, a z nim nęcący zapach kolendry i smażonych pomidorów.

Jestem taka głodna, że czuję, jak żołądek przykleja mi się do kręgosłupa.

Dawaj to, Dominiku.

– Pachnie bosko – mówię, choć nie chcę.

Nie znam człowieka, który mieszka teraz w moim domu. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego – łazienki ani przedpokoju, porannej kawy ani pysznej kolacji.

Ale nie mogę się powstrzymać, cholera, nie mogę.

I to nie tylko przez aromatyczną potrawę ukrytą w brązowej torebce.

To przez te oczy, tak czarne, że najczarniejsze, i przez ten głos, tak ochrypły i szorstki jak pumeks.

Przechodząc do kuchni, uświadamiam sobie i jednocześnie sama przed sobą przyznaję – Dominik Borkowski zaczyna mnie fascynować. A może zawsze tak było, może od początku uległam magii węglowych oczu górnika i dopiero teraz jestem w stanie to przyznać?

Robię powolny wdech i staram się poskładać porzucane po całym organizmie myśli.

Skup się, Natalia, bo marny twój los.

– To wołowina po prowansalsku. Jeśli lubisz mięso, powinna ci smakować.

– Lubię – przyznaję i wpatrzona w szeroką klatkę piersiową Dominika zagryzam usta na dźwięk słowa „mięso”. Brodacz podchodzi do kuchennego blatu, myje ręce i zaczyna rozpakowywać papierowe zawiniątko.

– Ale musisz coś o mnie wiedzieć. Mam nieładny zwyczaj.

Stoję przy oknie, daleko od roboczego blatu. Nie chcę mu przeszkadzać. Obracam jedynie głowę w stronę mojego gościa i z uwagą czekam na to, co powie.

– Uwielbiam jeść przed telewizorem.

Dominik patrzy na mnie z miną psotnego dziecka, a moje serce startuje do galopu.

– Zwykle tego nie robię, ale co tam. Czego się nie poświęci dla takiej pachnącej wołowiny – odpowiadam wesoło.

Patrzę na niego. On patrzy na mnie.

Uśmiechamy się do siebie.

Jest tak... jakoś dobrze.

I w tej chwili uświadamiam sobie, że nawet nie zapytałam.

– Jak twoje poszukiwania? Jakie wieści o Arielu?

Czarna czupryna się obniża. Dominik kręci głową.

– Zupełnie nic – mówi. – Mam wrażenie, że chodzę w kółko. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie ten szczeniak jest. Dzwoniłem do niego dziś kilka razy. Odebrał dopiero po południu, więc to tyle. Wiem, że żyje.

Potakuję, jednocześnie odnotowując w głowie słowo „szczeniak”. Wiem, że Ariel jest młody, a wygląda na jeszcze młodszego, ale to słowo jakoś nie pasuje mi do kontekstu kochanków.

Szczeniak...

A może nie chodzi o słowo, tylko o ton, jakim zostało wypowiedziane. Pełen ojcowskiej miłości.

– Jeszcze ciepłe. Gdzie masz talerze?

Razem nakładamy aromatyczną potrawę do niewielkich miseczek i uzbrojeni w sztucce zasiadamy przed telewizorem. Dominik bez ociągania sięga po pilot, ale na szczęście nie wybiera kanału sportowego, tylko jakiś program podróżniczy.

Jemy, oglądając widoki z plaż Tajlandii. On siedzi dość blisko. Ja, zamiast się odsunąć, proponuję mu drinka. On się zgadza.

To nie jest mądre posunięcie. W końcu to niemal obcy facet, który śpi w moim domu. A ja piję alkohol. Ale charakter Dominika i fakt, że jest gejem, sprawiają, że czuję się bezpiecznie.

Ja i on.

To jest jakieś takie naturalne.

Trochę czuję się tak, jakbym mieszkała z mężem, którego nigdy nie miałam.

Stare, dobre małżeństwo, siedzące na kanapie i oglądające program o egzotycznych zakątkach świata. Chwile mijają mi błogo i nie spostrzegam, kiedy program podróżniczy się kończy, a w szklance widać dno.

Bezpieczniej będzie odejść.

– Jestem zmęczona. Idę się położyć – mówię i z niemałym trudem opuszczam białą kanapę.

Kiedy spoglądam na Dominika, widzę w jego oczach smutek. Jest trochę... zawiedziony?

– Tak, ja też się już położę – mówi.

Kiwam głową i szurając kapciami, zmierzam do sypialni. Jednak kiedy już mam przekroczyć próg salonu, czuję, że powinnam coś powiedzieć. Coś miłego.

– Dominik?

– Tak?

Czarna głowa na kanapie energicznie obraca się w moją stronę.

– Jutro możesz ugotować u mnie, jeśli chcesz oczywiście. Nie musisz wychodzić, kiedy będę w pracy.

Dominik unosi głowę. Najpierw marszczy brwi, a potem jego twarz jaśnieje.

– Dzięki, Natalia. Chcę.

Potakuję i otwieram drzwi sypialni.

Oszalałaś, Natalia, oszalałaś.

Biegnę za Renatą, a jej żywo pomarańczowa bluza razi moje oczy. Lecimy zwykłą trasą, przy strumyku, z widokiem na Góry Sowie, które ostatnio eksplodowały najświeższą z zieleni. Tak jak to bywa w kwietniu.

Popołudniowe słońce ogrzewa moje plecy, co jest całkiem miłe. Dziś biegamy po południu. Zwykle tego nie robimy, pozostając przy porannych spotkaniach, ale z powodu nadchodzącego lata Renata zarządziła dodatkowe bieganie.

Żeby uda wysmuklić. I boczki spalić. Żeby na plaży nie było się wstyd pokazać.

Biegnę więc nad strumieniem w to słoneczne popołudnie, ale dziś idzie mi kiepsko. Nie mogę złapać tchu i bardzo się męczę. Z utęsknieniem czekam na widok małego mostu, przy którym odpoczywamy. A kiedy do niego docieramy, kiedy w końcu widzę to drewniane cudo, padam na chłodną jeszcze po zimie łąkę i łapczywie łapię oddech. Renata opiera się jedynie o kolana i lekko dyszy. Jest w lepszej formie niż ja.

Jak zawsze.

– Wiem coś, Nanu.

– Aha – mruczę ze zmęczenia, nie bardzo wiedząc, o co jej chodzi.

– O tych twoich sąsiadach. Gejach kochasiach.

Moje skupienie wraca. A jednak.

– To mów – żądam.

Renata kręci głową.

– Powiem ci jutro. Najpóźniej pojutrze.

Patrzę na nią z wyrzutem, ale ona odmawia.

– Nanu, nie chcę powtarzać nieprawdziwych plotek, tylko podzielić się ważnymi informacjami. Poczekaj więc, proszę. Dzień czy dwa nie zrobi ci

chyba różnicy? Ale unikaj ich, proszę, zwłaszcza tego Dominika. To śliski typ... Cholernie.

Odpowiadam skinieniem głowy i czuję, jak na kark wpełzają mi zimne dreszcze strachu.

Dzień czy dwa nie robi różnicy?

No wie wiem, Ren, to chyba tak nie działa, kiedy śpi się ze śliskim typem w jednym mieszkaniu.

Dziś zrobił tajskie danie. Ja wzięłam prysznic po bieganiu i teraz siedzimy na kanapie.

On ma na sobie krótkie spodenki i T-shirt, ja – wypłowiały dres. Jedzenie jest pyszne, pikantne i słodkie jednocześnie. Kiedy kończę, muszę się powstrzymać, żeby nie wylizać resztek sosu z talerza.

– Masz talent – mówię i uśmiecham się do mojego współlokatora.

– Wiem – mruczy z zadowoleniem. – Ariel też tak mówił.

Chwilę milczymy, a potem on pyta o coś dziwnego.

O mnie.

O dzieciństwo.

Więc ja odpowiadam. Odkładam miseczkę po tajskim daniu na szklany stolik kawowy i zaczynam opowieść.

Opowieść typowo wiejską, o domu babci Marysi i dziadka Edwarda, o ganku z lipowego drewna i brzęczących wieczorami owadach. O kocach, herbacie osłodzonej dżemem i ince z miodem i mlekiem. O niedzielach po kościele i o porankach w wysokiej trawie.

Opowiadam mu o Bezpiecznym Miejscu, które już nie istnieje.

Mówię o miłości. A kiedy kończę, pytam go o to samo.

O dzieciństwo.

On też mówi sporo, jak na siebie.

O podwórku, o blokowisku, o życiu bez ojca, o niedoli matki. O trzepaku, kumplach, malowaniu kredą po asfalcie i picciu wiśniówki w ciemnej bramie.

Mówi i mówi, a potem pochyla się nade mną.

Ja się nie odsuwam, choć wiem, co się zaraz stanie. Chyba jakaś część mnie wiedziała o tym od zawsze, od chwili, kiedy brodaty człowiek przekroczył próg mojego gabinetu.

Przed moim ustami, dosłownie milimetr przed nimi, zatrzymuje się, a węglowe oczy badają moją twarz. Chyba dostrzega w niej przyzwolenie, to, którego sama sobie nie uświadamiam, i dotyka mnie suchymi i ciepłymi ustami.

Powinnam uciekać.

Krzyczeć, dać mu w twarz, wyrzucić za drzwi.

Ale zamiast tego oddaję pocałunek. Może robię to z samotności? A może z fascynacji oczami górnika?

Całuję go jak on mnie, a gęsta broda łaskocze moją skórę.

Zbliżamy się do siebie. Jego ręka jest już pod moją bluzą, a ja ciągnę czarną czuprynę.

Coraz bardziej leżymy, niż siedzimy.

I nagle on wstaje.

Szepcze pełne winy „przepraszam” i znika w pokoju gościnnym. Ja zostaję w pozycji półleżącej na kanapie, w sercu mam bałagan, a w kuchni nieporządek.

I dwie miski po tajskim jedzeniu na szklanym stoliku.

Miski dwie.

Teraz

Wchodzę do przedpokoju i z ulgą zrzucam niewygodne skórzane pantofle.

– Nie ma sprawy – mruczę, starając się nie przejmować krwistoczerwonym kolorem mojej twarzy. – Poczekam. Napiję się wcześniej drinka. Zrobisz mi?

– Drinka? Na pusty żołądek? Okay, jeśli chcesz. Jakiego?

– Może być martini z tonikiem – odpowiadam ze słabym uśmiechem i patrzę, jak Dominik znika w kuchni.

Boso wchodzę do salonu i z cichym westchnieniem opadam na kanapę.

Zamykam oczy i wsłuchuję się w odgłosy dobiegające z kuchni. Nie przywykłam do tego. Żeby ktoś mi gotował. Przygotowywał posiłki, wstawiał naczynia do zmywarki i wyrzucał śmieci. W dorosłym życiu mieszkałam sama.

Tak naprawdę dalej mieszkam.

To jest ten moment.

Teraz.

Siedzę ze szklanką białego trunku w dłoni, a Dominik kończy gotować Coś Tam.

Ja nie wiem, co mam zrobić.

Albo inaczej – wiem bardzo dobrze Co, tylko nie mam pojęcia Jak.

Muszę powiedzieć mu, żeby się wynosił. Już i teraz. Żeby przestał gotować to pyszne Coś i zajął się zbieraniem swoich rzeczy. Że nie obchodzi mnie ani on, ani Ariel.

Tak powinnam zrobić. Ale magnetyczna moc węglowych oczu trzyma mnie na uwięzi.

I ciekawość. Co będzie dalej? Do czego się posunie? Co wtedy zrobię ja?

– Podusi się jeszcze z dziesięć minut i będzie gotowe – chrypi z kuchni Dominik.

– Dobra – mówię cicho.

Dobrze, Dominiku, dobrze. Tylko czemu kłamiesz?

Bo kłamiesz od początku, prawda? Ten pocałunek otworzył mi oczy. Nie jesteś ze mną szczery.

– Wskoczę pod prysznic. Gorąco w tej twojej kuchni, cały płynę.

Kiwam głową z uśmiechem i podnoszę szklanę do ust.

On też się uśmiecha. Wejdzie do łazienki czy się zorientuje?

Sekundy mijają, a ja staram się nie patrzeć na czarnego nieco obitego iPhone'a leżącego na szklanym stoliku.

Telefon Dominika.

On nie zauważa. Chyba zapomniał, że go tam położył.

Wchodzi do łazienki, a ja nasłuchuję. I słyszę to, co chcę usłyszeć: dźwięk przekręcanego zamka, odgłos ściąganych w pośpiechu ubrań, wodę płynącą z deszczownicy.

Chwytam czarne urządzenie.

Jest blokada, wiem to.

Ale obserwowałam jego ruchy, kiedy miał telefon w dłoni, i chyba wiem, jak go odblokować. Wstrzymuję oddech i próbuję. Łączę dwie poziome kropki. Potem trzy pionowe.

Jest.

Cholera, serio. Udało się.

Cieszę się i nasłuchuję odgłosów z łazienki. Woda dalej skapuje z deszczownicy wartkim strumieniem. Sprawdzam połączenia. I są. Do Ariela, codziennie. Chociaż nie tyle, o ilu opowiadał, ale to drobiazg.

Teraz wiadomości. Nie ma nic od Ariela. Komunikator internetowy. Klikam na zieloną ikonkę. Jest fotka Ariela i podpis użytkownika: Allen.

I wiadomości, raczej stare, sprzed miesiąca.

Kup mleko. Obiad w lodówce. Dziś jem na mieście.

Normalna wymiana zdań dwóch mieszkających ze sobą osób. Nic ponadto. Żadnych miłosnych wyznań, wzniosłych deklaracji czy czułych słów. Nic, co świadczyłoby o rozpadzie związku i rozpaczy brodacza.

No nic, mogą się przecież kontaktować jeszcze przez email albo jeden z popularnych portali społecznościowych. A do nich nie mam dostępu bez znajomości loginu i hasła.

Tak że tyle.

Korzystając z tego, że odgłos kapiącej wody nie cichnie, klikam jeszcze na ikonkę aparatu. Mimo ogarniającego mnie poczucia winy chcę przejrzeć ich zdjęcia.

I zamieram.

Bo w albumie nie ma ani jednej fotki Ariela, za to jest dużo zdjęć naszego osiedla. W zimowej szarudze, jesiennym złocie, w letnie popołudnie i w kwiecisty maj.

Zdjęcia Osiedla Radosnego.

I na każdym ja.

Ja.

Spiesząca się do pracy. Wracająca z biegania. Ja z Renatą. Z teczką wypełnioną aktami pod pachą. W letniej sukience.

Ja. Ja. Ja.

Gorące ogniki strachu wpełzają na moje plecy, a dłonie robią się wilgotne od potu.

Odkładam telefon na stolik i spazmatycznie łapię powietrze.

Co teraz?

Co zrobić?

O co w tym chodzi?

Zatapiam dłonie we włosach, jakby to mogło mi pomóc pozbierać myśli. Ale nie pomaga. Nie mam najmniejszego pojęcia, co zrobić. Dzwonić na policję? Drżącymi rękoma wyszukuję w torebce smartfon. Jaki to numer? Na policję? Dziewięć dziewięć siedem? Nie, to chyba pogotowie...

– Kurwa – szepczę sama do siebie. – Zadzwonię i co powiem.

Mieszka ze mną chłopak mojego byłego kochanka. I ma w telefonie moje zdjęcia.

Tak, pewnie, Natalia. Wtedy na sto procent wyślą tu oddział interwencyjny.

Wzdycham.

Renata. Zadzwonię do Renaty.

W tym momencie mój telefon wibruje, a ja myślę o sile podświadomości. Moja przyjaciółka właśnie do mnie dzwoni.

– Ren. – Odbieram połączenie, starając się nie brzmieć jak totalny rozbitek.

– Już wiem, Nanu – sapie Renata do telefonu. – Wiem wszystko o panach gejach. O Pięknym i Bestii.

– Mów – szepczę, myśląc o tym, czy Dominik mnie słyszy.

Wdech, wydech.

Spokój.

Oddycham na łyżkę wody.

– Możesz przyjechać na miasto? Za pół godziny przed Przytulnym Zakątkiem?

Kręcę głową.

Po co ten cyrk?

– Serio? Nie możesz mi po prostu powiedzieć? – pytam trochę wkurzona na Renatę.

– Bądź, Nanu. Za trzydzieści minut przed Przytulnym. Nie pożałujesz.

Rozłącza się, a ja klnę cicho. Ale zrobię, co mówi, innej drogi chyba nie mam. Szybko zbieram się do wyjścia. Zarzucam płaszcz, na ramieniu wieszam torebkę. Pukam w drzwi łazienki i dla zachowania pozorów mówię do Dominika. Niestety nie zjem z nim dziś, pilna interwencja, przykro mi, niech nie czeka. Zamykam za sobą drzwi.

Nie czekaj, psycholu.

Zaraz cię dorwę.

Jadę dość szybko, mijając kolejne, skąpane w kwietniowym słońcu ulice. Prowadzę jak w amoku, prawie nie zwracając uwagi na otoczenie i innych uczestników ruchu drogowego. Przez moją głowę przechodzi burza. A może nawet prawdziwe tornado.

Kim jest Dominik Borkowski, człowiek, który jest moim gościem?

Partnerem Ariela?

Sąsiadem spod czwórki?

Niebezpiecznym przestępcą?

Nie wiem. Jest kłamcą, to na pewno.

A Ariel? Ten jego załamany głos w telefonie? Jego depresja, ucieczka? To prawda, czy może Ariel też kłamie?

Zatrzymuję samochód na światłach i ze świstem wypuszczam powietrze.

Co z Renatą? Dlaczego mówi zagadkami? Dlaczego nie przyznała wcześniej, że wie o moim romansie?

Coś tu się nie zgadza. Zaciskam palce na kierownicy i ciężko dyszę. Czy już nikomu nie mogę ufać? Nawet najlepszej przyjaciółce? Parkuję w zatoczce naprzeciwko kawiarni Przytulny Zakątek i jakby na potwierdzenie moich wątpliwości widzę Ren.

Stoi przed lokalem, obok niej Ariel.

Rozmawiają, śmieją się, on kładzie rękę na jej plecach. Wygląda to tak, jakby się dobrze znali.

Od dawna.

Staram się oddychać. Nie gubić wątku, nie tracić gruntu, nie dać się zalać wodospadem emocji. Staram się przetrwać nadchodzące minuty.

Obserwuję tę dwójkę.

Moją najlepszą przyjaciółkę i mojego byłego kochanka.

Renata nieraz śmiała się z mojej słabości do Pięknego Chłopca. I choć nie wiedziała o naszej zażyłości, to często czyniła dwuznaczne aluzje pod kątem tego najlepszego ciacha na osiedlu.

Nie wiedziała?

Czy udawała, że nie wie?

Oddychaj powoli, Natalia. Dmuchał na łyżkę wody.

Patrzę na nich. On całuje ją w policzek. Ona się śmieje, śmieje jak szalona. Potem Ariel opuszcza swoją towarzyszkę i wchodzi do lokalu. Renata zostaje na ulicy. Czeka na mnie.

A ja nie pozwolę jej czekać ani sekundy dłużej.

– Cześć. Wchodź do knajpy. Twój książkę tam na ciebie czeka. I wszystko ci wyjaśni. Uśmiejesz się, obiecuję.

Te wszystkie słowa padają z ust Renaty w ramach powitania. Mogę ją teraz poprosić o wyjaśnienia, zapytać o to, co tu się wyprawia. Ale jakaś siła pcha mnie do wnętrza kawiarni, do mojej zimowej miłości.

Zimowej miłości, zimowej słabości.

Zimowej miłości, zimowej słabości.

Ten rym tłucze się w mojej głowie, kiedy bez słów mijam Renatę. Patrzy na mnie trochę zdziwiona, ale ignoruję ten wzrok.

Chcę tylko, żeby to wszystko się już skończyło.

Kiedy przekraczam próg Przytulnego Zakątka, moje nozdrza atakuje zapach świeżo zmielonej kawy i aromatycznego orzechowca. Znajomy klimat knajpy działa na moje zmysły wręcz terapeutycznie.

Wyciszam się i względnie spokojna podchodzę do stolika, przy którym siedzi Ariel.

– Cześć – mówię po prostu, głównie dlatego że nie przychodzi mi do głowy nic innego, co mogłabym powiedzieć.

Cześć, Ariel.

Podnosi na mnie oczy. Złociste, duże, ale nadal kocie. Co za piękny człowiek!

– Cześć, Natalia – szepcze cicho Najlepsze Ciacho na osiedlu. – Usiądź, proszę. Chyba musimy pogadać.

Siadam.

Kiwam głową.

Musimy jak cholera.

– Nie jestem gejem – mówi i unosi ręce w obronnym geście.

– Nie? – pytam.

– Nie – odpowiada spokojnie. – Absolutnie. To znaczy, nie mam nic do gejów, ale ja jestem hetero. Bardzo. Myślałem, że wiesz, jak bardzo.

Uśmiecha się chytrze, a moje policzki płoną zdradziecką różowością.

– A Dominik?

Ariel wzdycha.

– Natalia, posłuchaj. Było mi z tobą bardzo dobrze, ale to już za mną. I mi przeszło. Ty mi przeszłaś. A to, co się teraz wyprawia... Naprawdę bardzo mi przykro, że musisz przez to przechodzić. W sumie to nawet trochę moja wina.

– Twoja wina – powtarzam za nim jak echo.

– No może nie do końca moja, bardziej Dominika, ale ja też mam w tym swój udział. Bo widzisz, Dominik to mój brat. Przyrodni. Dlatego mamy inne nazwiska. No i nie jesteśmy aż tak podobni. Wychowywaliśmy się osobno, każdy ze swoją mamą. Mamy wspólnego ojca. Ja jestem sporo młodszy, a Dominik... On mi pomaga. Ze studiami i utrzymaniem się. Finansowo stoi całkiem nieźle, choć w innych dziedzinach życia ma problemy. Dobra, plotę, a ty na mnie patrzysz takimi przestraszonymi oczami.

– Bo nie wiem, o co tu chodzi, Ariel. Nie rozumiem ni w ząb.

– Widzisz, Dominik to specyficzny facet. Ma trochę problemów... emocjonalnych. Nie zrozum mnie źle, to dobry chłop. Nawet za dobry. Ale czasem trochę świruje. Wiesz, to taki nerd. Samotnik. Neurotyk. Wszystko naraz.

– Aha – mówię, nadal nic nie pojmując.

Ariel pochyla się nad stolikiem i zniża głos do konspiracyjnego szeptu.

– On jest w tobie zakochany, Natalia. Na zabój. Powiedziałbym nawet, że ma obsesję, ale nie myśl o tym w ten sposób... Że jest niebezpieczny, bo nie jest.

– On jest we mnie zakochany. – Znowu echo. Tylko na tyle mnie stać w tym emocjonalnym kotle.

– No pewnie, przecież za to wyrzucił mnie z chaty. Dowiedział się, że ty i ja... Wiesz, trochę się bujaliśmy ze sobą. I się mocno wkurzył. Kazał mi spadać, więc spakowałem się i wyszedłem. Jałmużny nie chcę. No i tyle. Dzwonił do mnie codziennie, prosił, żebym wrócił, ale miałem go gdzieś. Aż zadzwoniła do mnie twoja miła koleżanka.

– Renata – szepczę.

– No, ta sexy mamuśka, z którą rozmawiałem przed wejściem. Swoją drogą, świetna babka, musimy się kiedyś umówić we trójkę. No i ona mi powiedziała wszystko o tych bzdurach, których naopowiadał ci mój braciszek. O wizycie u ciebie w gabinecie, o moim związku. – Ręce Ariela unoszą się i kreślą w powietrzu niewidoczny dla oczu cudzysłów. – O mojej ucieczce i tym podobnych... Natalia, to wszystko dla ciebie. Te bujdy, wymysły. Nie wiem jak, ale ten chłop chce cię w ten sposób zdobyć. Dziwaczne, przyznaję, ale taki już jest Dominik. Inny.

Przymykam powieki i trawię w umyśle wszystkie wchłonięte informacje.

Przypominam sobie zdjęcia, które widziałam w telefonie brodacza, jego ton głosu, kiedy opisywał Ariela słowem „szczeniak”, wiadomości, oschłe i konkretne, jakie wymieniali między sobą Piękny Chłopiec i Czarny Mężczyzna.

Tak, to składa się w całość.

Prawie.

– Ale dlaczego mu pomagałeś? – pytam cicho. – Dlaczego brałeś w tym udział?

Piękne czoło marszczy się i staje nieco mniej piękne.

– Co masz na myśli?

Wzruszam ramionami.

– To chyba oczywiste. Twój telefon. Pełen desperacji głos proszący, żeby Dominik się do mnie przeprowadził. Bo inaczej coś sobie zrobisz.

Bruzdy na czole się powiększają, brwi robią się złe, twarz naciągnięta.

A po chwili, może po kilku sekundach, wszystko puszcza.

Ariel zanosi się śmiechem.

I tak trwamy przez moment – on się śmieje, ja go obserwuję.

A kiedy już przestaje rechotać, spogląda na mnie z rozbawieniem wciąż widocznym w oczach i mówi:

– A wiesz, że mój brat pracuje jako lektor?

Skinienie głowy.

Wiem.

– Głosem może udawać, kogo chce – przekupę z targu, Anię z Zielonego Wzgórza, płaczącego bobasa i Jamesa Bonda.

– Tak – ponownie kiwam głową. W górę i w dół.

– A skoro tak, Natalio, to pomyśl. Ja nigdy z tobą nie rozmawiałem. To musiał być mój szalony braciszek. Ale muszę przyznać, że chłop ma jaja. Tak cię wkłęcić na całego. I jeszcze się do ciebie przeprowadził, mówisz... Ekstra, naprawdę jestem pod wrażeniem tego starego nerda.

Trawię. Sortuję. Układam na mózgowych półkach wszystko, co słyszę.

– A Renata?

Ariel wzrusza ramionami.

– Skontaktowała się ze mną, opowiedziała o sytuacji, poprosiła o spotkanie. To jestem.

– Ale... Nie znałeś jej wcześniej?

Włosy Ariela błyszczą, kiedy zaprzecza ruchem głowy.

– Tylko z widzenia na osiedlu. Ale to spoko babka, niczego sobie...

Słowa, słowa, słowa.

Ariel mówi dalej. Ja patrzę na biel jego równych zębów i myślę, że z takim uśmiechem mógłby nawet zdobyć Hollywood. Co za piękny chłopiec. Piękny Chłopiec.

Chłopiec z ciemnym brodatym bratem, który czeka na mnie w mieszkaniu.

Mieszkaniu kiedyś bezpiecznym, teraz zainfekowanym.

Ariel dalej mówi, dalej się uśmiecha, a ja myślę tylko o jednym. Że muszę wyrzucić Dominika z mieszkania. I że tego nie chcę.

Kiedy przychodzę, jest cicho. Jakby pusto, ale czuję jego obecność. Wiem, że tam jest, siedzi przed ekranem laptopa w „swojej” sypialni.

Człowiek, który podstępem dostał się do mojego domu.

Człowiek, który mnie okłamał, i to nie raz.

Człowiek zły?

Nie, Dominik Borkowski nie jest zły. Ariel ma rację: on jest inny. Jak by nie patrzeć, zrobił to wszystko dla mnie. Jeszcze nikt, nigdy, żaden facet w moim przeszło trzydziestoletnim życiu nie zrobił dla mnie czegoś takiego.

Ryzykował dużo.

Dla mnie.

Drzwi pokoju gościnnego skrzypią, barczysta postać wyrasta w salonie niczym za duże drzewo w zagajniku młodych brzoź.

– Odgrzać ci potrawkę? – pyta cicho.

Delikatnie. Nienachalnie.

Powinam go teraz wyrzucić, wiem.

Powiedzieć, że znam prawdę i żeby pakował swoją walizczkę na zbyt głośnych kółkach.

I pewnie powinam się jeszcze wyprowadzić z tego zakichanego osiedla.

Tyle że...

No cholera, ten facet udawał dla mnie geja.

I ma oczy takie czarne, wymalowane wokoło jak u górnika po zmianie.

Mój podziemny, ciemny mężczyzna.

– Odgrzej, ale niedużo. I zrób mi drinka. Mocnego.

Siadam na kanapie, nie zdejmując butów, a Dominik zabiera się do pracy w kuchni. Po kilku chwilach mam w ręce szklanekę wypełnioną białym martini, na szklanym stoliku ląduje miseczka z potrawką, a na telewizyjnym ekranie widać kadry z jakiegoś włoskiego miasta.

Dominik siada obok mnie, też popija drinka. Uśmiechamy się do siebie.

Muszę mu powiedzieć, że znam prawdę. I żeby sobie poszedł.

Ale nie dziś. I nie jutro.

Dam nam szansę. Zobaczą. Może sam mi powie?

A może... Może już tu zostanie?



Kiedy tłumaczka Sonia przeprowadzała się do osady Białe, leżącej w Kotlinie Kłodzkiej, spodziewała się ciszy i spokoju. Stary dom oczarował ją atmosferą, a dziki ogród dawał iluzję harmonii z przyrodą. Jednak już kilka dni później okolica zaczęła odkrywać przed nową mieszkanką swoje sekrety.

Karina to młoda policjantka, która po znajomości dostała pracę w kłodzkim wydziale kryminalnym. Trafia do zespołu niezbyt pracowitych samców alfa. Jeden z nich postanawia zawładnąć jej życiem.

Sprawdź, czy ktoś za tobą nie stoi. Bo nie wszystkie historie mają dobre zakończenie.



Mglista Kotlina Kłodzka i jej mrok, który znowu budzi się do życia.

Pierwsze jesienne dni w kotlinie przynoszą niepokojące wiadomości. Morderstwo młodej kobiety wstrząsa małą górską społecznością. Do pomocy w kłodzkim oddziale dochodzeniowym zostaje oddelegowana psycholożka – Klementyna Sawicka. Kobieta przeprowadza się do kotliny wraz z córką, aby wśród natury i dzikości krajobrazu szukać ukojenia.

Czy uda jej się rozwikłać zagadkę tajemniczego morderstwa?

Czy wynajmowane mieszkanie, którego ściany zdobi mroczne malowidło, okaże się bezpieczną kryjówką?

Z pomocą może przyjść jej ambitna sierżant policji Karina Maj. Jednak toksyczny związek z niebezpiecznym policjantem wysysa siły vitalne z młodej policjantki. Czy wystarczy jej sił, aby wyrwać się z chorego układu i zaangażować w śledztwo?

Spis treści:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Teraz](#)

[Kwiecień, tydzień wcześniej](#)

[Listopad, kilka miesięcy wcześniej. Dzień dobry, Ariel](#)

[Kwiecień](#)

[Grudzień. Żegnaj, Ariel](#)

[Kwiecień](#)

[Teraz](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © Ina Nacht, 2021

Copyright © for Polish edition by Stara Szkoła Sp. z o.o., 2021

All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, udostępnianie i rozpowszechnianie całości lub fragmentów bez pisemnej zgody wydawnictwa zabronione.

Projekt okładki: Radosław Bączkowski, Quite Studio

Redakcja: Klaudia Kościelska

Korekta: Agnieszka Madyńska

ISBN 978-83-66013-55-1

Wydawca:

Stara Szkoła Sp. z o.o.

Rudno 16, 56-100 Wołów

biuro@stara-szkola.com

www.stara-szkola.com

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek